POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 20-go marca 1943r.* — **Rok V. Nr. 11**

NA WSZYSTKICH FRONTACH

Artykuł p.t. "O służbie wojskowej" druk. w "Dzienniku Żołnierza" nr. 30 /765/ chciał dać nauczkę tym. którzy dla własnej korzyści utożsamiają wartość moralną służby cywilnej z wojskową. Intencje zaiste szlachetne i można by było im tylko przyklasnąć, gdyby nie to, że niestety tak sposób stawiania zarzutów, jak i wnioski wyciągnięte przez autora są nie do przyjęcia. Zagadnienie jest ciekawe i powinno zainteresować ogół żołnierzy.

Autor rozumuje w ten sposób: nasza etyka chrześcijańska stawia powołanie żołnierza najwyżej pod względem moralnym wśród wszystkich innych powołań przyrodzonych, ponieważ żołnierz oddaje swoje życie za bliźnich. Żołnierzem jest ten, kto służy w wojsku. Wobec tego "*największy malarz, poeta, uczony czy filozof nie jest godzien jako taki butów czyścić prawemu żołnierzowi.*" To też autor artykułu uważa niemal za bluźnierstwo ukuwanie takich powiedzeń czy haseł, jak "*front kulturalny,*" "*front planowania,*" "*front odbudowy,*" *i związane z tym* "*bohaterstwo pracy,*" "*heroizm cywilny,*" *niemal* "*bohaterstwo urzędowania.*" *Wobec wielkości nieszczęścia* — powiada artykuł — *jakie przeżywa Polska i tyle krajów, człowiek moralnie zdrowy może mieć tylko jedną postawę:* "*chcieć służyć w wojsku.*" "*Jakże wyglądają . . . ci, którzy myślą tylko o swoim kształceniu, zbierają srebrniki czy złote dolary, dorabiają się posadek!*"

Tyle mniej więcej autor, według którego przytłaczająca większość żołnierzy podziela w zupełności te jego poglądy. Ja do niej nie należę.

Jeżeli wartość moralna powołania w przyrodzonym porządku jest wprost proporcjonalna do gotowości poświęcenia swego życia w słusznej sprawie dla dobra bliźnich, to nie można nie dopuścić do wyżyn moralnych tych powołań nie wojskowych, które posiadają te same cechy heroizmu. O przykłady nie trudno: straż pożarna, wyprawy ratownicze na morzu i w górach, policja w walce z bandytyzmem, służba zdrowia w zwalczaniu epidemii, uczeni i wynalazcy przeprowadzający niebezpieczne doświadczenia, kapitanowie na tonących statkach i t.p. Niektórzy w tych służbach składają przysięgę, podobnie jak i w wojsku, niektórzy ślubują, podświadomie rozumiejąc doniosłość sprawy.

Przykłady wyżej podane pochodzą z życia w czasie pokoju, kiedy wojsko żyje i pracuje bezpiecznie w garnizonach.

W czasie wojny, szczególnie obecnej, kiedy to zasięg artylerii i karabinów maszynowych stał się dzięki lotnictwu niemal nieograniczony, kiedy pojawiły się oddziały spadochronowe i piechota powietrzna, tyle może być natychmiastowych krwawych frontów, ile jest miejsca pod niebem. To samo a nawet więcej można powiedzieć o morzu, gdzie niebezpieczeństwo czyha na każdym kroku i grozi ze wszystkich kierunków: z boków, z góry, z dołu.

To też możliwości utraty życia przy należytym spełnianiu swych obowiązków przez cywilów różnych służb, koniecznych tak do wygrania wojny, jak i przyszłości — niezmiernie się uwielokrotniły. Niektóre zawody cywilne niczym już istotnym nie różnią się od służby wojskowej w ogniu walki. Wystarczy podać takie przykłady jak flota handlowa, lub straż pożarna w często bombardowanych miastach. I nic nie zmieni faktu, że w działaniach frontowych nad wyspami Wielkiej Brytanii więcej ginie tych robotników fabrycznych, którzy mimo niebezpieczeństwa utraty życia, nie opuszczają swoich tak ważnych dla wojska warsztatów pracy, niż żołnierzy pełniących tu służbę na odcinkach w pierwszej linii.

Z drugiej strony w wojsku, które w obecnej wojnie jest bardzo rozbudowane, niektóre rodzaje służb znajdują się w warunkach identycznych z warunkami w jakich pracuje ogół cywilów, nawet w czasie pokoju. Często są to te same dziedziny życia cywilnego, tylko że z pewnych względów włączone do wojska — niekoniecznie z zasadniczą zmianą warunków pracy. Są też całe armie stojące na pograniczu służby wojskowej i cywilnej, jak *Home Guard* lub nasza Obrona Narodowa, mająca piękną kartę w rapsodzie wrześniowym. Są też w wojsku pomocnicze służby pełnione wyłącznie przez kobiety, ponieważ mężczyźni są potrzebni do bardziej eksponowanych służb cywilnych.

Jesteśmy świadkami zjawiska militaryzowania się życia cywilnego i jeżeli się tak wyrażę, ucywilniania wojska. W dawniejszych czasach wojsko składało się niemal wyłącznie z tego, co miało się bić, i z tego, co w najbliższej styczności z bijącym się żołnierzem służyło mu pomocą. Obecnie tylko pewna część wojska bierze bezpośredni udział w walce i to tym mniejsza, im broń jest bardziej skomplikowana.

Bylibyśmy w błędzie uważając to zjawisko za główny rys wojny totalnej jaka obecnie się toczy. Najważniejszą jej cechą jest walka na wszystkich płaszczyznach życia. Są to właśnie te fronty pozawojskowe, o których tak lekceważąco wyraża się cytowany artykuł. Jeżeli dekownicy różnego autoramentu usprawiedliwiają swoją nieobecność w wojsku braniem udziału w walce na frontach pozawojskowych, to nie znaczy, by tych frontów nie było. W tym wypadku bowiem nie stwarzają fikcji, lecz żerują na faktach.

W wojnie obecnej nie tylko żołnierz walczy z żołnierzem, ale i górnik w kopalni angielskiej zmaga się z górnikiem w kopalni niemieckiej, inżynier schylony nad rysownicą gdzieś w Glasgowie wytęża mózg w nadludzkim wysiłku, by odparować zabójcze ciosy zadawane przez inżyniera pracującego gdzieś w Gdańsku, robotnik amerykański przy swojej obrabiarce zmaga się z obsługą obrabiarki japońskiej i propaganda zdobywa "amunicję" kosztem krwi reporterów i operatorów frontowych. Ośrodki wyszkolenia trwają w uporczywym wyścigu pomnażania kadr fachowców. Można by tu przytoczyć tyle rodzajów walki, tyle frontów niegorszych od frontu wojennego, ile jest kółek i sprężyn potrzebnych do życia organizmu walczącego społeczeństwa.

Szczególnie drastycznie to wygląda, jeżeli takie fronty znajdą się na terenie okupowanym przez wroga. Nasz kraj dlatego tak cierpi, ponieważ walczy, walczy na frontach głównie pozawojskowych — na religijnym, narodowościowym, oświatowym, gospodarczym, biologicznym, kulturalnym. Na wszystkich. Ponosimy tam straty zastraszające.

Schylam głowę przed tymi poetami, malarzami, uczonymi i filozofami, którzy chociaż byli niegodni "jako tacy" czyścić butów prawemu żołnierzowi, właśnie "jako tacy" złożyli swe nędzne życie cywila na ołtarzu Ojczyzny. Szanuję też i jestem wdzięczny tym, którzy rozumiejąc swoje powołania i olbrzymią odpowiedzialność ciążącą na nich za utrzymanie polskiej kultury na powierzchni życia, nie wybierają łatwej drogi kokietowania opinii mundurem wojskowym.

Są chwile, kiedy wszyscy muszą schwycić za broń — tak było we wrześniu. Są jednak chwile, kiedy ściąganie wszystkich do wojska może spowodować nieobliczalną wprost szkodę dla społeczeństwa. Wojsko jest jedną z broni walczącego narodu, a można sobie łatwo wyobrazić jaką wartość przedstawiała by armia składająca się wyłącznie z samych — chociażby nawet — lotników.

Dla naszego wojska lądowego w Szkocji zapanował kilkuletni "lull" — taka bowiem zaszła sytuacja i taki był rozkaz dyktowany jej zrozumieniem. Wielu żołnierzy którzy raz w Polsce, drugi raz na emigracji zgłosili się na front, z równie trafnym zrozumieniem potrzeb Polski, zaczęli się starać o czasowe zwolnienie z wojska. Ci których zwolniono poszli na studia i praktyki specjalizujące, by wesprzeć inne decydujące dla nas, a tak zagrożone fronty, by pokryć chociażby jedną promillę strat od wielkości których, zależy nasze polskie "być albo nie być."

Takie słowa jak "*myślą tylko o swoim kształceniu,*" chociaż skierowane do egoistów, co prawda nieraz zapominających że jest wojna — rzucają cień na wszystkich tych, którym Polska będzie wdzięczna, kiedy nadejdzie krytyczna chwila rozglądania się za fachowcami. Oby jak najmniej trzeba było pozostawić fachowców niemieckich na ich poprzednich stanowiskach, lub poszukiwać zagranicznych!

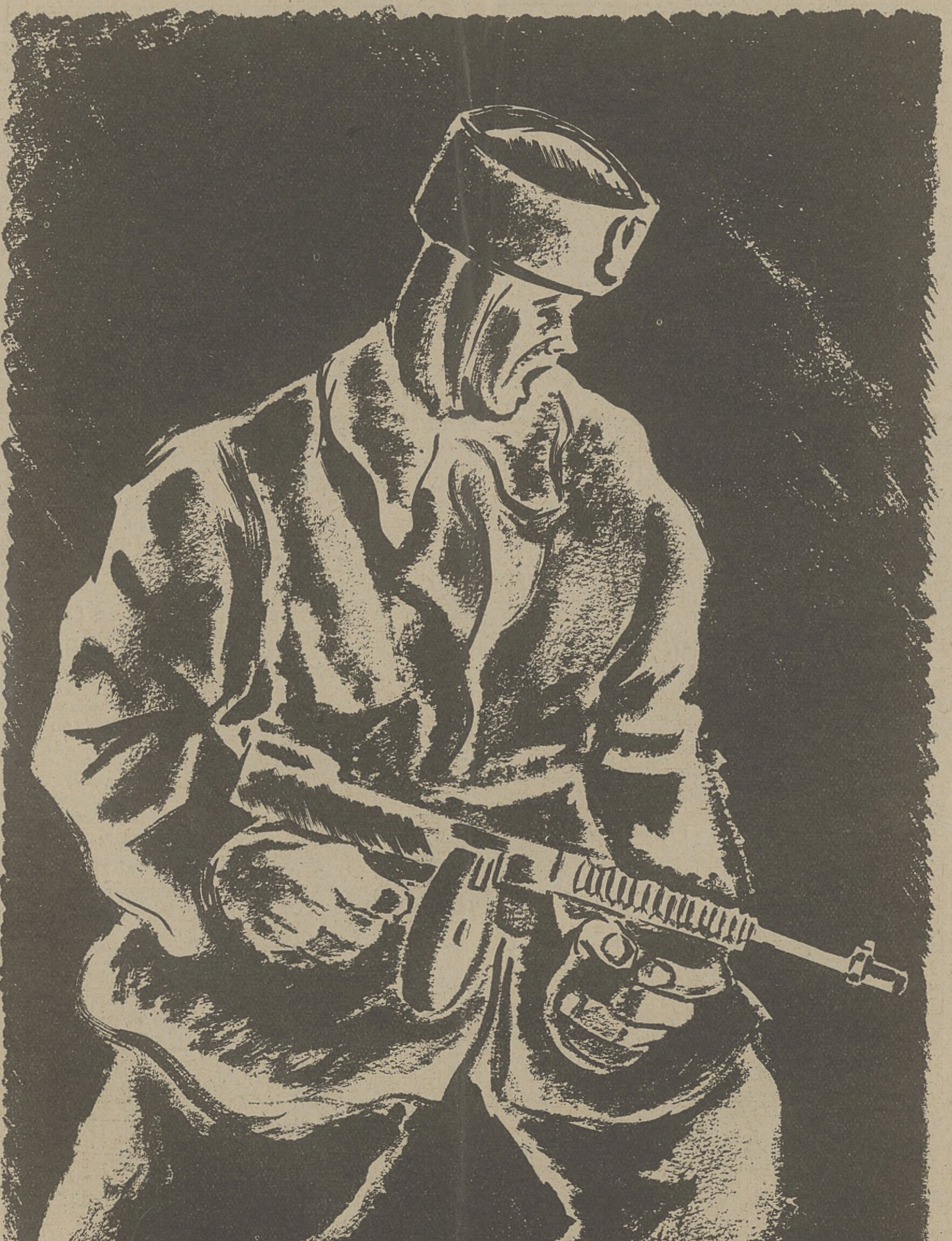
A takie natomiast przykre zjawiska, jak "zbieranie srebrników," czy złotych dolarów, dorabiania się posadek" nie są niestety obce i naszemu życiu. Wydaje mi się, że my — żołnierze możemy przemówić do cywilów źle służących narodowi raczej w ten sposób:

— Toczy się wojna totalna o istnienie naszego świata. Wszyscy Polacy są powołani do brania w niej czynnego udziału. Polska walczy na wszystkich frontach: na wojskowym, politycznym, kulturalnym, gospodarczym, narodowościowym, biologicznym i wielu innych. Każdy front potrzebuje zdecydowanych bojowników — ponieśliśmy już olbrzymie straty. Wartość moralna powołania zależy od indywidualnego nastawienia człowieka, bez względu na dziedzinę życia, w której pracuje i walczy. Jeżeli ktoś nie jest w wojsku. to nie znaczy, aby nie musiał mieć nastawienia prawego żołnierza. Społeczeństwo polskie tyle spodziewa się od żołnierza, co od polityka, uczonego, publicysty /zwłaszcza od niego, choć nieraz zapomina, że patrzymy na niego i sądzimy go po jego działaniu/, urzędnika, czy robotnika — żąda, by każdy włożył nadludzki wysiłek, by nie szczędził krwi i potu w walce i trudzie, by zawsze i wszędzie pamiętał, że grozi zagłada wszystkiemu co nam jest bliskie, drogie i konieczne do życia.

Bądźmy wszyscy godni naszych zadań niezależnie od frontu, wojskowego czy cywilnego, na którym postawiła nas historia, na który wezwała nas najcięższa, najtragiczniejsza chwila w życiu naszego narodu.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Marian Smarzewski: Spadochroniarz



Szkic sytuacyjny

MOWA WICE-PREZYDENTA WALLACE'A

Mowa, jaką wygłosił wice-prezydent Stanów Zjd. Henry Wallace, należy do najważniejszych w tej wojnie. Ujmowała ona istotę tej wojny, prądy, jakie ścierają się o władztwo nad człowiekiem współczesnym, możliwości i niebezpieczeństwa, jakie się kryją w różnicach, powstających wśród Zjednoczonych Narodów.

Wallace uważa — i słusznie — że dla narodów broniących zasad wolności naczelnym zadaniem jest *wprowadzenie ładu opartego na uznaniu zasad chrześcijaństwa*, jako zasad najwyższych w odniesieniu do człowieka. Totalizm w tej czy innej formie zagraża podstawom wolności ludzkiej i dlatego tego rodzaju wiary polityczne nie mogą współżyć obok haseł, które przede wszystkim mają na względzie rozwój jednostki.

Wallace zwraca uwagę, że możliwości trzeciej wojny światowej bynajmniej nie są wykluczone. Wszystko zależy od tego, jak Narody Sprzymierzone będą się starały ułożyć współżycie między sobą, jak będą stosować zasady demokracji i wolności; odrzucenie grabieży i zaboru jest pierwszą zasadą. Wojna stanowi próbę wytrzymałości *United Nations*.

Głos Wallace'a poparty został oświadczeniem Roosevelta, który na swej konferencji prasowej zaznaczył z okazji listu Czang Kaj Szeka, że *wszelki zabór musi być uważany za nieprawny*. Najlepszy to dowód jak bardzo USA są czułe na zagadnienia moralne tej wojny i jak silnie stawiają tę sprawę.

EDEN W WASZYNGTONIE

W chwili tak doniosłej dla całej sprawy porozumienia między Narodami Zjednoczonymi, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Eden, udaje się do Waszyngtonu. Jest to zrozumiałe i słuszne, albowiem państwa odpowiedzialne za stworzenie Koalicji muszą mocno wziąć w swoje ręce jej losy. Na Londynie i Waszyngtonie spoczywa w poważnej mierze odpowiedzialność za spoistość tej spółki, która powstała w miarę narastania wojny /nic więc dziwnego, że wynikają nieporozumienia i tarcia w miarę posuwania się wojny/.

Miejmy nadzieję, że rozmowy, jakie Eden przeprowadzi w Stanach Zjd. przyczynią się do wyjaśnienia stanowiska Ameryki i Wielkiej Brytanii na wiele podstawowych czynników tej wojny. Uzgodnienie wspólnej platformy jest rzeczą pilną. Karta Atlantycka jest ogólnym zarysem. Trzeba wytycznych na codzień, trzeba postanowienia w wielu drobniejszych sprawach. Życie człowieka i narodów składa się z tysiąca takich drobiazgów, które należy mieć ustawicznie na oku, ażeby pożycie ludzi i narodów było możliwie gładkie. Wszelka nieuwaga w sprawach, które czasem wydawać się mogą drobne, mści się potem niejednokrotnie.

Określenie linii polityki brytyjskiej jest rzeczą bardzo potrzebną, tym bardziej, że w braku tego rodzaju określenia wypowiedzi pewnych kół czy pism /jak niedawny artykuł "*Timesa*" pt. "*Security in Europe*"/ mogą snadnie wywoływać wrażenie, że Wielka Brytania przekreśla niektóre swoje hasła i wkracza na drogę polityki siły /*power politics*/, uznawania tylko "*the big four*" /czterech wielkich potęg/, którym wszyscy inni, czy chcą czy nie chcą, muszą się podporządkować. Wrażenie takie byłoby mylne, ale trzeba właśnie, dla odcięcia się od podobnych podejrzeń, określić stanowisko demokracyj Zachodu.

Czekają na to narody ujarzmionej Europy. Od tej deklaracji zależy wiele.

POD CHARKOWEM I POD WIAZMĄ

Rosjanie odbili Wiazmę i przez to poszerzyli poważnie swoje przedpole przed Moskwą. Niemcy natomiast wdarli się na nowo do Charkowa, co dowodzi, że punkt ten uważany jest przez nich za ważny. Oczywiście, ważny dla wiosennej czy letniej ofensywy.

Akcja sowiecka kierowana jest przypuszczalnie obawami, że ewentualny atak niemiecki, w bieżącym roku skierowany będzie ku Moskwie. Wiele na to wskazuje, przede wszystkim zaś to, że ofensywa niemiecka /jeżeli przyjdzie/ będzie szła pod hasłem politycznym raczej, aniżeli militarnym — nawet jeżeli będzie miała czysto militarne cele na względzie. Wnioskować by zatem można, że ofensywa ta skierowana będzie swoim ostrzem na Moskwę.

W danej chwili mamy do czynienia z pewnego rodzaju mocowaniem się prawie równych sił i szans. Armia niemiecka — jak zaznacza "Liberator" w artykule w "*Obserwerze*" z dnia 14-ego marca — skróciła front: z 2500 mil na 1250 mil. Trzyma ona ten skrócony ogromnie front jakiemiś 160 dywizjami. *Straciła ona do 60-iu wielkich jednostek*: zniesionych, wziętych do niewoli, przetrzebionych.

Ściąga się z Zachodu nowe jednostki, odsyła na tyły celem zreformowania dywizje bardzo poszarpane. Pomoc — tak to ocenia prasa brytyjska — jaką może dać Zachód i garnizony na obszarze Francji, Holandii, Belgii, nie przekroczy 30-*u jednostek*. Innymi słowy, armia niemiecka zaczyna już obracać kapitałem coraz bardziej skąpo. Okres, kiedy mogła rzucać tym kapitałem bez żadnego ograniczenia dawno minął. *Zaczyna się okres, kiedy trzeba oszczędzać.*

Czy nowa armia niemiecka — a raczej *połatana* armia Trzeciej Rzeszy — jaka stanie gdzieś w lecie na skróconej linii, będzie armią liczącą 200 *dywizyj*? Być może, ale jakość tych wielkich jednostek nie będzie już nadzwyczajna. Podjęcie działań zaczepnych przez tego rodzaju jednostki drugiej klasy nie będzie łatwe. Oczywiście, na pewne wybrane punkty frontu — jak ostatnio pod Charkowem — armia niemiecka potrafi jeszcze dzisiaj rzucić wyborowe wojska. Ale ilość tych wojsk kurczy się. Wytraca się najlepszy miąższ tej armii i formacyj *S.S.*

Nie zapominajmy zaś, że te właśnie formacje były niejako "żelaznym kapitałem" niemieckim, rezerwą partii na "czarną godzinę," na chwilę, kiedy w samej Rzeszy czy w krajach podbitych mogłoby dojść do jakichś poważniejszych odruchów czy niepokojów. Dzisiaj ta straż partyjna, ci janczarzy, ci najwierniejsi z wiernych — giną. Nie można ich było utrzymywać zbyt długo na przyfronciu czy na zapleczu.

W TUNISIE

Działania w Tunisie przewlekają się. Wojska brytyjskie poszły na powolne wyniszczanie sił wroga. Ze sprawozdań jakie zamieszczają niedzielne dzienniki londyńskie /jak n.p. "*Sunday Times*"/ wynika, że olbrzymie czołgi niemieckie padły nareszcie ofiarą artylerii przeciwpancernej. Okazało się, że i na te smoki jest sposób. Atakowanie tych czołgów od frontu nie jest bardzo miłym zadaniem, albowiem posiadają one bardzo ciężkie uzbrojenie i panują nad olbrzymim polem. Natomiast są one znacznie bardziej "czułe." z boku. Zagadnienie polega na tym, ażeby te ogromne czołgi niemieckie, z którymi na razie jeszcze nie można sobie dać rady — wprowadzać w zasadzki, gdzie działka ppanc. mogą bić z flanki. Manewr taki udał się, a odważni oficerowie brytyjscy, pomimo silnego obstrzału wroga zdołali przedostać się do "trupów" czołgów i zbadać tajemnice ich wnętrza i konstrukcji.

Wiele wskazuje na to, że właśnie te czołgi olbrzymy przeszło 50-cio tonowe wprowadziły zamęt na teatr wojny w Tunisie i że stały się zaporą, przez którą na razie nie można się było przedostać. One to właśnie w połączeniu z linią Mareth, na której Rommel zgromadził spore ilości artylerii, bronią Tunisu. Trzeba sobie uprzytomnić, że *pole walki w Tunisie jest bez porównania cięższe*, aniżeli pole walki w Egipcie czy Libii. Jest to walka w górach, w gąszczach, w terenie wybitnie nieprzejrzystym. Trzeba zatem armię libijską, która tak świetnie rozwiązała zagadnienie walki w pustyni, przeszkolić w odmiennych warunkach przypominających może tereny Jugosławii, czy częściowo Włoch /Apeniny/.

NALOTY NA RZESZĘ

RAF zabrał się do młócenia Rzeszy na bardzo poważną skalę. Nie tylko siła nalotów jest duża, ale coraz to inne ośrodki idą pod nóż. Nadrenia bita jest najwięcej, ale bombowce RAF'u zapuszczają się dalej na wschód.

Należy wyczekać, jakie rozmiary przybierze ofensywa powietrzna. Mielibyśmy prawo spodziewać się, że właśnie wiosna b.r. będzie tą *zapowiedzianą wiosną* ofensywy lotniczej. Poprzednie lato nie spełniło w pełni pokładanych nadziei, albowiem ofensywa lotnicza RAF'u rwała się ustawicznie.

Wiosna i lato 1943 powinno by przynieść — tak ostrożni rachowali jeszcze na wiosnę 1941 — uderzenia naprawdę poważne. Oczywiście, nie sposób zawyrokować dzisiaj, czy ofensywa bombardowania lotniczego będzie tą ofensywą, która złamie wroga. Wydaje się, że spór na ten temat trwać będzie — *aż do końca wojny*. Nie ma dwóch zdań, że odpowiednio prowadzona akcja — a więc uderzanie w ośrodki niemieckiej produkcji noc po nocy /przy czym ładunek bomb winien być największy/ — da bardzo dobre skutki. Świadectwa, jakie przywożą obserwatorzy neutralni z Berlina do Szwajcarii czy Szwecji powiadają, że jednak *naloty RAF'u stają się istną zmorą mieszkańców Rzeszy* i że szkody oraz zniszczenia są bardzo znaczne. Nic w tym dziwnego, jeżeli zważy się *potworny ładunek bomb zrzucanych na Rzeszę*.

Odpowiedź niemiecka nie może być ani w części tak ostra. Wynika to z dwóch faktów: Rzesza skupiła swoje wysiłki na budowaniu maszyn, które służą do *współdziałania z armią lądową*. Jest to w zgodzie z niemiecką teorią wojny, która jest teorią przede wszystkim lądową. Dlatego Rzesza poszła przede wszystkim na budowę tych maszyn bombardujących, które poprzedzają atak lądowy. Uderzenie Luftwaffe na Anglię jesienią i zimą 1940/1941 było potężne, ale bombowce niemieckie nie były ani ciężkiej "wagi" ani też ładunek bomb nie był taki, jakim operuje obecnie RAF. Drugi fakt łączy się z ostatnim: Rzesza nie rozwiązała w tym stopniu co Wielka Brytania zagadnienia *wielkiej bomby*.

Wiosna 1943 przyniesie *częściową odpowiedź* jak wielka jest skuteczność bombardowania *skupień przemysłowych*.

Londyn, 15 marca 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

7 marca: Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały zadania wymiatania nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela.

8 marca: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową na cele w północnej Francji.

—Polską załoga bombowa z D-twa Obrony Wybrzeża w czasie patrolowania wód Zatoki Biskajskiej została zaatakowana przez dwa samoloty nieprzyjacielskie. Po krótkiej walce bombowiec polski szczęśliwie powrócił do bazy.

9 marca: Prasa doniosła, iż dn. 12 lutego br. w miejscowości Grójec pod Warszawą Niemcy rozstrzelali 70 osób, głównie w następstwie wykrycia tajnej drukarni.

—Pierwszy Lord Morza admirał floty Sir Dudley Pound udekorował orderami i medalami 8 marynarzy polskich oraz innych marynarzy państw sprzymierzonych. Z pośród 8 dekorowanych marynarzy polskich 4 zostało odznaczonych za udział w działaniach bojowych związanych z eskortą konwojów do Rosji.

10 marca: Lotnik polski por. Pietrzak, który zestrzelił 500-ny samolot niemiecki, mówił na Trafalgar Square w Londynie — w ramach uroczystości tygodnia lotnictwa "Wings for Victory" — o działalności polskiego lotnictwa myśliwskiego w W. Brytanii.

—Polskie Dywizjony Myśliwskie przeprowadzały dwukrotnie zadania wymiatania.

—Książę Gloucester, brat króla Jerzego odwiedził dywizjon 303 im. Tadeusza Kościuszki i spędził cały dzień wśród myśliwców.

11 marca: Orkiestra polskich oddziałów spadochronowych oraz oddział złożony z uczniów polskich dywizjonów szkolnych brały udział w defiladzie oddziałów lotniczych Sprzymierzonych na Trafalgar Square z okazji uroczystości tygodnia "Wings for Victory."

—Polscy myśliwcy atakowali cele ziemne na terenach okupowanych przez nieprzyjaciela. Jeden polski samolot nie powrócił.

12 marca: Polskie dywizjony myśliwskie ubezpieczały wyprawę bombową. W drodze powrotnej myśliwcy polscy spotkali 12 samolotów Focke Wulf 190, z których dwa zestrzelili nie ponosząc strat.

—Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz uroczyście dekorował oficerów Marynarki Brytyjskiej i marynarzy orderem "Polonia Restituta" i Krzyżami Zasługi. Wielką wstęgę "Polonia Restituta" otrzymał Pierwszy Lord Morza i Szef Sztabu Morskiego admirał floty Sir Dudley Pound.

12 i 13 marca: Naczelny Wódz gen. Sikorski dokonał przeglądu Oddziałów W.P. w Szkocji.

—Naczelny Wódz zwolnił ze stanowiska dowódcę I Korpusu Panc. Mot. gen. bryg. Borutę-Spiechowicza, mianując równocześnie na jego miejsce dowódcą Korpusu gen. dyw. Zająca.

Gen. Boruta-Spiechowicz otrzymał 6-cio miesięczny urlop ze względu na stan zdrowia.

Jednocześnie Naczelny Wódz zamianował gen. dyw. Karaszewicz-Tokarzewskiego zastępcą dowódcy Armii na Wschodzie.

13 marca: Polskie dywizjony bombowe w nocy z 12/13 bombardowały Essen. Wszystkie polskie załogi powróciły.

—Polskie Dywizjony Myśliwskie osłaniały wyprawę bombową na tereny okupowane przez nieprzyjaciela. W drodze powrotnej wyprawa została zaatakowana przez nieprzyjacielskie lotnictwo myśliwskie. Polscy myśliwcy zestrzelili 1 Focke Wulf 190 na pewno oraz jeden Me 109 prawdopodobnie, tracąc dwa samoloty.

14 marca: Niemcy ogłosili zdobycie Charkowa.

—Polskie Skrzydło Myśliwskie przeprowadzało zadanie wymiatania. Wszystkie samoloty powróciły.

—W nocy z 13/14 polskie załogi bombowe kładły miny na wodach nieprzyjacielskich. Jedna załoga nie powróciła.

Ponadto w ciągu ubiegłego tygodnia polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały patrolowania dzienne i nocne. Polski dywizjon bombowy w Dowództwie Obrony Wybrzeża patrolował morza i zwalczał żeglugę nieprzyjacielską.

Nowości lotnicze

Niemcy podkreślają w swych komunikatach wzrastającą działalność lotnictw alianckich, szczególnie RAF'u. Podkreślanie tego faktu ma znaczenie propagandowe. Jest ostrzeżeniem dla ludności cywilnej, że powinna spodziewać się ciężkich i częstych ataków. Rzeczywiście po zmianie na najwyższych stanowiskach RAF'u, natężenie bombardowań wzrosło, dochodząc czasem do stopnia jeszcze w tej wojnie niespotykanego.

Działalność lotnictwa bombowego Aliantów jest prawie nieprzerwana, szczególnie na froncie zachodnim. Były okresy w lutym, gdy ataki trwały bez przerwy 72 godzin dniem i nocą. W ciągu tych 72 godzin sam tylko RAF wykonał 2000 lotów, a jego maszyny przebyły olbrzymią przestrzeń 2 i pół miliona mil, a więc mniej więcej trzy razy . . . do księżyca i z powrotem. Ilość zrzuconych ton bomb przekracza cyfrę 4500 ton, czyli trzy pociągi po sto wagonów 15 tonowych . . . Są to sumy iście astronomiczne.

Ataki były wykonywane w ten sposób, że każdy z nich był zaskoczeniem. Wielostronność ataków i ich taktyka, nie pozwoliła Niemcom przegrupowywać środków obrony przeciwlotniczej, zarówno w samolotach myśliwskich, jak i artylerii. Stawia to dowództwo niemieckiej obrony lotniczej w sytuacji więcej, niż kłopotliwej.

Tak wygląda front zachodni.

Tymczasem w Tunisie trwa walka, która ma charakter *par excellence* zmechanizowany. Główną rolę odgrywają czołgi i samoloty. Obie strony usiłują zapewnić sobie przewagę w sprzęcie. Liczebność wojsk nie odgrywa zbyt wielkiej roli. Rommel wprowadził w bój swoje najcięższe 60-tonowe czołgi z działami 88 m/m, podczas gdy Brytyjczycy użyli po raz pierwszy "Churchillów."

Nastąpiły bitwy czołgów, w których lotnictwo wzięło żywy udział po obu stronach. Lotnictwo użyte przeciw czołgom nie daje bezpośrednich wyników, stara się je uzyskać drogą pośrednią, przez atakowanie ośrodków zaopatrywania.

Alianci mają zdecydowaną przewagę w powietrzu nad Tunisem. Nie mniej natrafiają na duże trudności w realizowaniu tej przewagi. Gdy po uderzeniu Arnima Alianci stracili trzy lotniska, stracili również możność używania lotnictwa myśliwskiego krótkiego zasięgu, podczas gdy Niemcy w dalszym ciągu zachowali te możliwości, a nawet je zwiększyli. Nie oznacza to naturalnie, by w ogóle lotnictwo myśliwskie Aliantów nie mogło brać udziału w akcji, lecz nie mniej możliwość ta została mocno ograniczona.

W tym samym czasie Niemcy użyli silnego lotnictwa pola bitwy, a więc myśliwców bombardujących i swych sławnych nurkowców, tych ostatnich, jedynie w ograniczonej liczbie. Podkreślaliśmy już w ostatnich "Nowościach" lotniczych, że Niemcy stracili zaufanie do nurkowców. Rzeczywiście cyfry, którymi rozporządzamy wskazują, że Niemcy zmniejszyli ogólną liczbę dywizjonów nurkowych i że cyfra ta ma stałą dążność zniżkową. Jeżeli o liczebność maszyn chodzi, to Niemcy mieli do 1942 roku około 500 "Stuka" pierwszej linii, gdy aktualnie cyfra prawdopodobna nie przenosi 300.

Jednakowoż można to zjawisko tłumaczyć sobie ogólnym spadkiem dyspozytywu pierwszej linii "Luftwaffe." Po raz pierwszy od 1940 roku dyspozytyw ten spadł poniżej 5 tysięcy. Niemcy starają się za wszelką cenę odbudować go i doprowadzić do dawnego stanu. Cały szereg eskadr znajduje się na przezbrojeniu. Wejdą w akcję dopiero wiosną.

Nie mniej jesteśmy przekonani, że gdyby nawet lotnictwo niemieckie przywróciło dawny stan swej pierwszej linii, nie będzie w mocy przywrócić go odwodom. Zapas 300 procentowy, jedyna rękojmia długotrwałości ofensywnego wysiłku lotnictwa, stał się dla Niemiec nieosiągalny. Wobec tego możemy wysunąć tezę, że taktyka niemiecka będzie musiała dążyć do nagłych, gwałtownych sukcesów, gdziekolwiek pójdzie zapowiadany atak wiosenny. O ile w ogóle będzie mógł być zmontowany.

Jednak ciągle należy się liczyć z ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem niemieckim, który będzie wykonany olbrzymią siłą. Wielu obserwatorów neutralnych, jak również niektóre powagi *War Office* są zdania, że ten wysiłek będzie skierowany przeciw Wyspom Brytyjskim. Być może, nie należy wykluczać i takiej możliwości, jednakowoż musimy zaznaczyć, że o tym zadecyduje lotnictwo transportowe i jego liczebność po stronie niemieckiej.

Malta odegrała niezwykle ważną rolę w zmaganiach afrykańskich i śródziemnomorskich. Ongiś — defensywną, dziś — typowo ofensywną. Zmiana charakteru znaczenia Malty jest najlepszym dowodem osłabienia możliwości lotniczych i morskich "osi" na tym terenie walk. Obecnie z lotnisk Malty idą potężne ataki na konwoje nieprzyjacielskie. Zatopienie n.p. cysterny o pojemności 12 milionów litrów benzyny i smarów musiało poważnie wpłynąć na afrykańskie działania wojsk "osi." Można stracić bez szkody, z narażeniem się na większe czy mniejsze trudności, kilka statków po parę setek tysięcy gallonów, lecz taka strata jak owej cysterny, storpedowanej przez samoloty marynarki w noc księżycową ma prawie strategiczne znaczenie.

Równocześnie z Malty trwają bez przerwy operacje, utrudniające prace bazy sycylijskiej. W tych operacjach nie brakło Polaków, zresztą bardzo chlubnie wyróżniających się odwagą i brawurą. Zadania związane z akcją na Włochy, szczególnie na Sycylię mają charakter specjalny i są powierzane jedynie wyborowym załogom.

Gdy do tych opisanych powyżej działań dodamy jeszcze bardzo intensywne działania na froncie Burmy, gdy dodamy wszystkie działania na Pacyfiku, jeżeli dalej podkreślimy, że wszędzie gdziekolwiek znajduje się lotnictwo alianckie, jest liczebnie i jakościowo silniejsze od nieprzyjacielskiego, jeżeli dalej weźmiemy pod uwagę, że obecny stan rzeczy bynajmniej nie wyraża kresu możliwości RAF'u i Amerykańskich Sił Powietrznych — możemy powiedzieć sobie, że sprawy przyjęły bardzo dobry obrót i można spokojnie patrzeć w przyszłość.

M. J. GORDON

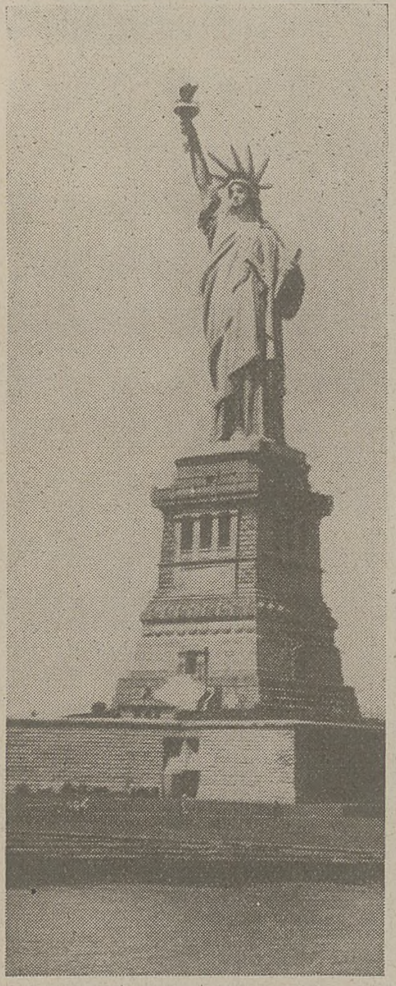
DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 16 — 28 lutego, 1943

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Wymiatanie myśliwskie Osłona wypraw bombowych Patrole nocne i dzienne	Łączna ilość samolotów: 88 Główne cele: Kolonia, St. Nazaire, Wilhelmshaven Kładzenie min na wodach terytor. n-pla Zwalczanie żeglugi nieprzyjacielskiej Patrolowanie mórz — Poszukiwanie zaginionych załóg
Dywizjon Współpracy wykonał 10 lotów bojowych w osłonie konwojów	
Razem do czasu przybycia do Anglii do 28 lutego, 1943	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 507	Łączna ilość samolotów: 4,810

Z Generałem do Ameryki

III. Końcowe etapy *



Jakkolwiek dla przeciętnego Polaka niewiele istnieje rzeczy dość wielkich, przed którymi nie mógłby przejść spokojnie z rękami w kieszeniach i z miną konesera, to jednak przyznać musi, że widok strzelistych *sky-scraper'ów* Nowego Yorku robi na nim potężne wrażenie. Na mnie niewątpliwie zrobił.

Ktoś, kto przyjeżdża, jak my, koleją od strony Filadelfii, nie widzi w całej okazałości wspaniałej panoramy tego miasta. Stale coś zasłania widok, mimo, że na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów pociąg idzie po grzbiecie wiaduktu, ponad ulicami i domami podmiejskich osiedli, i nad przedmieściami samego Nowego Yorku. Imponujący jest widok od strony morza. Jak na dłoni stoi na brzegu, za wysuniętą w morze Statuą Wolności, perspektywiczny grzebień mniejszych i wyższych, regularnych, smukłych bloków. Wyglądały by one na olbrzymią dekorację, gdyby nie ich niewątpliwa a piękna bryłowatość i perspektywa i nie tysiące prawdziwych okien, którymi upstrzone są żelbetonowe ściany. U podnóży wspartych o niebo olbrzymów ciągnie się niskie a szczelne podszycie domów, w jakich normalnie byt ludzki zwykł się mieścić.

Wychodząc z dworca kolejowego przez drzwi, które automat z komórką foto-elektryczną uprzejmie przed przybyszem otwiera — wpada się nagle i nieoczekiwanie w Nowy York. Mimo towarzystwa witających lub bodaj czarnego portiera z walizkami i obecności ruchliwych tłumów dokoła, człowiek czuje się czymś bardzo małym, zgubionym wśród olbrzymich skał, zapełniających mu przestrzeń ciasno przed wzrokiem, w koło, po bokach, nad głową. Zdaje się, że nie będzie się można przecisnąć lub że bloki zawalą się na głowę.

Szkoda, że stojąc któregoś z następnych dni na balkonie stodrugiego piętra *Empire State Building*, nie można przez lornetkę oglądać pionowo w dole — samego siebie. Czuło by się litość.

Ale to tylko złudzenia. Ludzie wyglądają na zupełnie szczęśliwych. Oko oswaja się z pierwszym wrażeniem względnej miniaturkowości człowieczej i widzi normalnie. Zgubić się trudno. Dzięki doskonałemu systemowi ulic, ułożonych w regularną kwadratową siatkę z Piątą Avenue, jako osią, dzielącą miasto na Wschód i Zachód — orientacja jest bardzo łatwa. Już po kilku godzinach pobytu można trafiać pod właściwe adresy bardziej nieomylnie, niż po dwu latach mieszkania w Londynie. Jedyna nieregularność Broadway'u nie komplikuje cudzoziemcowi sytuacji, ale podkreśla specyficzny charakter ulicy. W porze nocnej niezliczone bajeczne neony hypnotyzują oko Europejczyka, który od trzech lat przywykł rozbijać sobie nos w ciemnościach black-out'owych.

W nowym Yorku nie zabawiliśmy długo. Przed Generałem leżała jeszcze długa droga. Chciał odwiedzić, czyniąc zadość prośbie Prezydenta, stolicę Polonii — Chicago, Detroit, potem wrócić znowu do Waszyngtonu i wreszcie odbyć podróż do Meksyku.

Po konferencjach waszyngtońskich, których tematy i konkluzje trzymane były ściśle wewnątrz kół oficjalnych, w tym drugim okresie Generał miał możność zetknąć się bezpośrednio ze społeczeństwem amerykańskim. W licznych spotkaniach z publicystami i naukowcami, na konferencjach: w *Overseas Press Club* w Nowym Yorku i później z prasą przemysłowych centrów Chicago i Detroit, na wiecach powitalnych Amerykanów polskiego pochodzenia, przy przyjazdach i pożegnaniach, którym towarzyszyły wszędzie liczne rzesze publiczności — mógł wnioskować o amerykańskich nastrojach wojennych i serdecznym nastawieniu do spraw Polski. Przedstawiał ze swej strony polski punkt widzenia na wojnę i na cele, które obecnie już należy sprecyzować, a które musimy w niej osiągnąć.

"Pokój nie może zastać nas tak nieprzygotowanych — mówił Amerykanom — jak zastała nas wojna, inaczej krwawe zmagania narodów pójdą na marne, a skłócona Europa będzie znowu do Was wyciągała ręce o pomoc — za nowych lat dwadzieścia pięć."

Jak wiele pism stwierdziło, pisząc później o wynikach podróży Premiera Polski, "przyczyniła się ona do bardzo znacznego wyjaśnienia całego szeregu zagadnień pierwszorzędnej wagi /"Pittsburczanin" — m.in./

Istotnie mocno i bez wahania odpowiedział raz Generał komentatorowi politycznemu z Chicago na zapytanie o Wilno:

—"Reprezentuję rząd tego narodu, który napadnięty 1-go września 1939 roku, podjął i nadal bez przerwy prowadzi śmiertelną walkę w obronie swej wolności i swych ziem, z których w jego imieniu nigdy i nikomu nie czyniłem i nie uczynię żadnych koncesji."

A niezależnie od tych faktów:

—"Było by absurdem, by wewnątrz obozu Aliantów dokonywała się ratyfikacja nowego rozbioru Polski."

Szkoda, że nie mógł Generał po tych słowach otworzyć ekranu telewizyjnego i pokazać tego, czym tak gorącą reakcję wywoływał — polskiego żołnierza, lotnika i marynarza, że nie mógł powiedzieć:

—W tym momencie widzicie, Panowie, polskich myśliwców w ataku na nieprzyjaciela. Jeden z naszych dywizjonów, walczących z Niemcami od początku wojny. Dywizjon Myśliwski "Wilno." A ci myśliwcy nocni — noszą znane w Anglii miano "Lwowskich Puchaczy."

"W opinii Polskiego Premiera nie istnieją wątpliwości co do celów wojennych jego Narodu — pisał "*Chicago Sun*" — i jest on w pełni szczery w swoich żądaniach dla powojennej Polski." W czterech punktach streszcza je nowojorski "*Times*," twierdząc: "Rząd Polski na uchodźstwie niewątpliwie ma na celu zażądanie dla Polski: a/ Prus Wschodnich i Pomorza, b/ Śląska Opolskiego, c/ granic z Rosją, przewidzianych Traktatem Ryskim z 1921 roku i d/ odszkodowania od Niemiec."

Słowa, padające z ust Generała przy konferencyjnych stołach, jak i wśród licznych tłumów, wypowiadane w formie jasnej i mocnej, traktowane były jako dowód zaufania do społeczeństwa amerykańskiego i odpowiednio oceniane.

"Przedstawienie nam polskiego punktu widzenia na powojenną rekonstrukcję jest doniosłe — pisze "*Sunday Times*" — jako wyraz dążności jednego z pośród Zjednoczonych Narodów i to tego, który zajmuje kluczowy obszar w Europie."

Ale nie tylko sprawy polskie stanowiły temat zainteresowania i pytań. Zwracano się często z kwestią oceny sytuacji wojennej. Odpowiedzią było zapewnienie, że zwycięstwo będzie niewątpliwie po naszej stronie, że inicjatywa jest już w naszych rękach, ale należy się strzec przedwczesnej pewności, i sądzić, iż wojna już jest wygrana. "Hitler zamknie się w Europie, jak w twierdzy i mając za sobą zaślepiony fanatyzmem naród, będzie dążył do przeciągania wojny, aby wymusić na Sprzymierzonych pokój kompromisowy, który byłby o wiele groźniejszy, niż pokój po wojnie poprzedniej."

Tak jak i w rozmowach sztabowych, Generał podkreślał wszędzie konieczność maksymalnego przyśpieszenia wysiłku w produkcji wojennej i w działaniach frontowych, dla uzyskania szybkiego rozstrzygnięcia, przez którego szybkość jedynie można zapobiec wytępieniu ludności krajów podbitych przez Niemców.

—"Narody anglo-saskie, znane ze swej szlachetności, nie mogą przecież milcząco patrzeć na mordowanie dzieci, kobiet i starców, metodyczne i bezwzględne niszczenie krajów i eksterminację narodów; na wszystko, co Niemcy stosują przy pomocy szatańskich, udoskonalonych zdobyczami ich nauki metod — na Polakach."

O obrazie życia obecnej Europy ma zdaje się społeczeństwo amerykańskie właściwe pojęcie, bo rozumie już i konieczność odpłaty. Publicyści w Detroit usłyszeli kilka wypowiedzeń na ten temat.

Przede wszystkim: "Za to, co świat dziś przeżywa, odpowiedzialny jest cały naród niemiecki, który zwarcie stoi za Hitlerem. Nawet nauka niemiecka całkowicie oddała się na usługi Hitlerowi. Uczeni niemieccy, którzy jako goście naszych sfer naukowych zwiedzali Polskę przed wojną, występują dziś w roli grabieżców dzieł sztuki narodowej, w roli katów i sadystów."

"Niemcy muszą być rozgromione całkowicie i wtedy dopiero — należy im podyktować pokój. Naród niemiecki rozumie jedynie dyktat. Ze zbrodniarzami nie rozmawia się ani pertraktuje."

"Pierwszym warunkiem odbudowy Europy jest zupełne rozbrojenie militarne i przemysłowe Niemiec. Drugim — kara za popełnione winy, wymierzona według zasad sprawiedliwości — surowo i bezwzględnie."

"Gwarancję dotrzymania podyktowanych warunków może dać jedynie kwarantanna Niemiec pod wieloletnią okupacją przez siły Sprzymierzonych, w tym i przez wojska polskie — na terenach na wschód od Odry."

I wreszcie: "Przy zachowaniu tych warunków ludzkość musi we własnym i ogólnym interesie podjąć systematyczną reedukację Niemców zatrutych do najgłębszych korzeni, aby uczynić ich wreszcie zdolnymi do współżycia w rodzinie wolnych narodów."

Pamiętam, że widziałem wyraźne wrażenie tych słów na mojej pięknej sąsiadce z "*Daily Times*," siedzącej z rozchylonymi ustami; na dyrektorze naczelnym "*Sunday Tribune*"; w poważnym obliczu szefa wydawców z *Council on Foreign Relations;* na twarzach kierowników lub właścicieli koncernów amerykańskich i wśród przedstawicieli brytyjskich; u Jugosłowian, Litwinów, Czechów i Żydów. Polakom iskry świeciły w oczach.

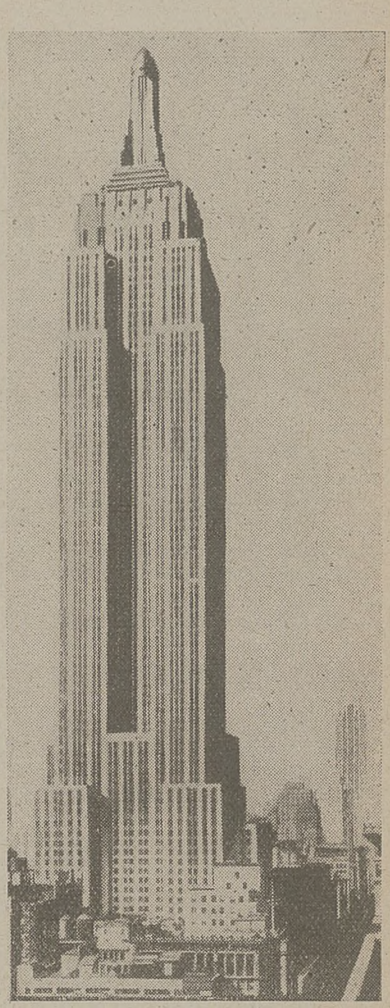
Rozważano problemy zawierania pokoju, kształtowania granic, tworzenia federacji i pisano, że wielu kierowników politycznych odkłada je w ogóle na później, poza tym każde z państw przygotowuje różne projekty, w niezrozumiałej dla postronnych tajemnicy. Wizyta Premiera Polski dała okazję opinii publicznej poznania w zarysie polskich projektów. Porównywano je w kwestii sankcji w odniesieniu do Niemców z podobnymi planami rządu sowieckiego i czeskiego. Poważne pismo "*Sunday Times*" n.p. znajduje zasadniczą różnicę.

"Sądy i karanie pewnych klas niemieckich żołnierzy, oficerów i urzędników cywilnych niekoniecznie musi dosięgnąć większość Niemców, jeżeli tylko nie znajdą się oni w zasięgu przewidzianej klasyfikacji. Okupacji i reedukacji podlegać będą wszyscy obywatele w Trzeciej Rzeszy." I inną jeszcze różnicę widzi P. Irving w dwóch projektach: "*One is justice polluted by revenge, the other — revenge tempered by justice.*"

Tymczasem podróż ciągnęła się nieprzerwanie. Zmieniały się miasta i hotele, pociągi i samoloty, krajobrazy, ludzkie twarze. Z serdecznej gościny stołecznego miasta Polaków amerykańskich, z Chicago i Detroit nie wyjeżdża się bez mocnego wrażenia. W szczerości zbiorowych odruchów tych ludzi widzi się ich dzielnych przodków, przybyłych na obcą ziemię z nad Wisły i Warty, Sanu i Wilii, czuje się ich polską duszę i krew nawet wówczas, gdy jako dalekie pokolenie emigrantów, zapomnieli języka ojców.

Na wiele dni przed przybyciem Generała skrzykiwali się z okolic wieścią, podawaną z ust do ust, jak wiciami i przybyli tłumnie. Kiedy rankiem 17-go grudnia dalekobieżny pociąg—"The General," wjechał z dwugodzinnym opóźnieniem za zamglony od deszczu dworzec chicagoski, rozentuzjazmowane tysięczne tłumy obległy gościa wiwatującym kordonem. W strojach cywilnych i wojskowych, w góralskich guńkach i kurtkach krakowskich, małopolskich, ze sztandarami.

Nie zdziwił się Generał, gdy w czasie wizyty u wypróbowanego przyjaciela Polaków, mayora Kelly'ego, wśród wyższych urzędników stanowych i okręgowych,



spotkał większość Polaków z tytułami sędziów, radców, inżynierów, adwokatów i skarbników, a w detroickich zakładach Chryslera — prawie połowę kierowników i pracowników-specjalistów polskiego pochodzenia.

Z pośród przeszło czterech milionów Amerykanów z pierwszego i drugiego pokolenia polskiego, rekrutuje się wielka liczba obsad olbrzymiego przemysłu. Jak powiedział Prezydent, a za nim i wielu wybitnych ludzi Ameryki razem z Arcybiskupem Curley'em, Polacy "przodują wszystkim Amerykanom w patriotyźmie oraz w gotowości służenia zarówno Ameryce, jak i Ojczyźnie ich przodków — Polsce."

Po krótkim, lecz owocnym pobycie w egzotycznym Meksyku, w którym Generał przygotował i zapewnił gościnę tysiącom naszych uchodźców ze Wschodu na czas wojenny, znaleźliśmy się z powrotem w Waszyngtonie. Sfinalizowanie rozmów z Prezydentem Rooseveltem i spotkanie z mayorem La Guardią w Nowym Yorku zakończyło trzecią podróż Generała do Ameryki.

Nocą znowu unosił nas samolot wysoko nad chmurami do Anglii. Było piekielnie zimno. Drżało się mimo futrzanych kombinezonów i śpiworów. Maski zamarzały co chwilę. Musieliśmy mocno na siebie uważać, gdy ktoś zasypiał przy zamarzającej masce. Generał był zmęczony.

Gdy patrzyłem na jego twarz, przypomniało mi się powiedzenie Lyforda Moorea, że odbija się na niej wyraźnie "*crushed people's fate.*" I chciałbym mu głośno przeczytać z ostatniego "Pittsburczanina" słowa:

"Po raz pierwszy może od chwili, gdy Generał Sikorski objął kierownictwo Rządu Polskiego na obczyźnie, zdania wygłoszone przez niego i jego oświadczenia znalazły tak serdeczne i głośne echo nie tylko już w prasie polskiej, ale w całej prasie rdzennie amerykańskiej oraz w uwagach najpoważniejszych pisarzy i radiowych komentatorów politycznych, którzy wiele czasu poświęcili omówieniu opinii, wypowiedzianych przez polskiego męża stanu. Dowodem to niezbitym, że rola Polski w obecnej wojnie jest coraz bardziej doceniana przez szerokie sfery amerykańskie."

Wróciliśmy do Anglii, w zgiełk wojennego życia. Przypomnieć sobie należy racje żywnościowe, spojrzeć w *black-out* i zaglądnąć do *undergroundu*, gdzie wzdłuż ścian śpią skurczone postacie. I gdy artyleria huknie nad Londynem, trzeba pamiętać, że *sombrerro* nie mogłoby tu starczyć za hełm.

Po powrocie do Anglii



CEZARY OŚCIEŃ

* Por.: I. "Droga na Zachód" w nr. 5; II. "W sercu 48 krajów" w nr. 8 "P.W." z b.r.

“Baśka” idzie na dno

Za oknem deszcz. Mglisto i zimno. Dzień jak wiele innych — bez żadnych zmian, bez żadnych wydarzeń. Nie jest bowiem wielkim wydarzeniem fakt, gdy w głośnikach rozlega się głos, nawołujący lotników do *dispersalu.* Gdy tylko niebo się przejaśni, gdy warunki atmosferyczne ulegną poprawie — wojna znowu będzie wisiała w powietrzu. “Lecimy na wojnę.” Brzmi to tak, jak “idziemy do kawiarni.” Rzecz zwykła, codzienna, a słowo “wojna” na pozór niczym się nie różni od *cup of tea.* I to jest właśnie najdziwniejsze w życiu każdej stacji lotniczej.

Tymczasem siedzimy w fotelach klubowych wygodnego *sitting room'u* i patrzymy w ogień, buzujący na kominku. Panuje jeszcze nastrój poświąteczny. Na ścianach girlandy jedliny, a w rogu pokoju choinka z pięknymi zabawkami, wykonanymi własnoręcznie przez lotników. Chwila jak gdyby wymarzona do przyjacielskiej pogawędki, do zwierzeń. Lotnicy jednak są raczej milczący i niechętnie wracają do wspomnień z niedalekiej przeszłości, która w każdej chwili znowu może się stać teraźniejszością. Kiedy wreszcie jeden z nich zaczyna mówić — nie przerywam mu żadnymi pytaniami. Rozumiem, że mówi on raczej do siebie, że po raz pierwszy być może, stara się uzmysłowić sobie obraz minionej “przygody,” w której ostatnim atutem było życie.

—Wystartowaliśmy — zaczyna mój rozmówca — parę minut przed północą. Lot odbywał się normalnie, bez żadnych niespodzianek. Szybkość 180 mil na godzinę. Cel: duże, fabryczne miasto w północno-zachodnich Niemczech. Wiedzieliśmy, że przed nami poszła pierwsza fala bombowców, która miała zapalić i oświetlić cel. Lecieliśmy spokojnie, oczekując momentu, w którym płomienie płonącego miasta i rakiety na spadochronach wskażą nam dokładnie ostatni odcinek trasy.

Zgodnie z naszymi przypuszczeniami po paru godzinach lotu ujrzeliśmy wielką łunę. Z każdą sekundą nieomal łuna stawała się coraz większa i zajęła wkrótce pół nieba. Zaczęliśmy odróżniać wyraźnie smugi pocisków przeciwlotniczych i obserwować częste wybuchy. Widok, do którego przywykliśmy, widok oglądany wielokrotnie, a jednak zawsze przejmujący grozą i napinający nerwy do ostatnich granic.

Pilot wziął kierunek na cel. Odnaleźliśmy go łatwo w morzu szalejących pod nami płomieni. W *intercomie* zabrzmiał głos:

—Drzwi bombowe otwarte!

Obserwator przycisnął gruszkę. Samolot lekko drgnął, poczem usłyszeliśmy tym razem:

—Bomby poszły!

Zadanie zostało spełnione. Dopiero teraz zdaliśmy sobie sprawę, że sytuacja nie jest *clear.* Dookoła nas co chwila wybuchały pociski artylerii przeciwlotniczej. Nieustanne wstrząsy samolotu świadczyły o bliskości wybuchów. Znajdowaliśmy się na wysokości 11,000 *feet* i trzeba było jak najprędzej wyrwać się z tego piekła pocisków i szukających nas reflektorów. Musieliśmy jednak jeszcze zrobić zdjęcia fotograficzne.

Pilot zatoczył rundę nad celem. Miejsce, w którym eksplodowały nasze bomby, w samym sercu potężnej fabryki — zostało sfotografowane. W momencie jednak kiedy już braliśmy kurs powrotny — kadłubem samolotu wstrząsnął wybuch silniejszy od innych. Przez sekundę zdawało się nam, że to już koniec — motory jednak pracowały dalej. Pokrzepieni nadzieją, że samolot nie odniósł poważniejszych uszkodzeń, zawróciliśmy “do domu.”

Minęła godzina lotu. W momencie jednak kiedy już byliśmy prawie pewni, że wszystko jest *all right*, spojrzałem na zegary benzynowe. Benzyna spadała w zastraszającym tempie. Teraz było już jasne — wybuch pocisku uszkodził nam zbiorniki.

Obliczyliśmy odległość. Od brzegu angielskiego dzieliło nas jeszcze ponad 200 mil, na przebycie których mieliśmy do dyspozycji około 160 galonów benzyny. Było to bardzo mało. Pocieszaliśmy się jednak, że przy sprzyjających warunkach atmosferycznych, jeśli benzyna nie będzie zbyt szybko uciekać — zdołamy dotrzeć do wybrzeża Anglii. Liczyliśmy również na to, że nawet w momencie, kiedy zegary mierzące zapas benzyny wskazują “zero,” pozostaje jeszcze w zbiornikach zapas benzyny, umożliwiający pół godziny lotu. To nas podtrzymywało na duchu.

Co chwila obliczaliśmy przebytą trasę. Gdy pozostało nam jeszcze 50 minut lotu, zegary benzynowe wskazywały 120 galonów. Było to zastraszająco mało. Benzyna uciekała z samolotu, jak życiodajna krew. Pozornie wszyscy byliśmy spokojni, jednak każdy zdawał sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Jeszcze 35 minut lotu — 80 galonów benzyny. Jeszcze 20 minut — 30 galonów benzyny . . .

Samolot stale tracił na wysokości. Na dobitek zjawiła się mgła. To pogorszyło naszą sytuację. Radiotelegrafista wezwał stację. Stacja odpowiedziała. Koledzy nasi, czuwający w *operation room* prowadzili nas do lotniska i byli napewno tak samo zdenerwowani, jak my.

Wysokość malała w sposób niepokojący. Mgła podnosząca się z nad morza, uciekająca benzyna, przemęczenie i niepewność — targały nasze nerwy. Być może na skutek zdenerwowania i przemęczenia strzelec przedni krzyknął, że widzi *beacon* /światło orientacyjne/. Radość nagłą falą napłynęła do serca. Jeżeli tak jest istotnie — to znaczy, że omyliliśmy się w obliczeniach i że znajdujemy się w danej chwili już nad lądem, a nie nad Morzem Północnym. Nikt z nas nie wymówił ani słowa, ale wszyscy byliśmy prawie pewni, że jesteśmy uratowani.

Nagle . . . nagle prawy silnik umilkł. Benzyna wyczerpała się. Chwilowa radość ustąpiła miejsca bolesnemu uciskowi serca. W dole była mgła. *Beacon* znikł.

Z kolei lewy silnik zaczął tracić obroty. Koniec zbliżał się nieuchronnie. Żaden z nas nie orientował się już, czy jesteśmy nad morzem, czy nad lądem. W dole — kłębowisko mgły.

Lewy silnik zamilkł. Cisza uderzyła nas jak obuchem. Świst powietrza zdawał się być sygnałem śmierci.

W *intercomie* zabrzmiał głos pilota:

—*Dinghy*!

Ten okrzyk rozwiał płonną nadzieję, że znajdujemy się nad lądem. Domniemany *beacon* był napewno światłem jakiegoś statku. Radiotelegrafista zaczął nadawać sygnały S.O.S. Zamarliśmy w oczekiwaniu . . .

—W imię Ojca i Syna . . . — rozległy się za mną słowa modlitwy.

Przerwał je potężny wstrząs. O kadłub samolotu uderzyły fale. “Wellington,” prowadzony ręką doświadczonego pilota — wodowa wspaniale. Ponieważ uprzednio jednak wyjęliśmy kopułę *astro* — przez otwór *astro* wdarły się fale. Po paru sekundach byliśmy już po pas w wodzie.

Wiedzieliśmy doskonale, że samolot może zatonąć w przeciągu kilkunastu sekund. Nigdy w normalnych warunkach żaden człowiek nie potrafi się zdobyć na tyle siły, energii i szybkości w działaniu, jak w obliczu śmierci. W mgnieniu oka radiotelegrafista, przedni i tylny strzelec, który na chwilę przed wodowaniem przedostał się do nas — wyskoczyli przez otwór *astro*.

Ja, uwikłany w jakieś przewody, nie zdążyłem tego uczynić. Samolot wypełniła woda. Dusząc się z braku powietrza i łykając słoną wodę jakimś cudem zdołałem wydostać się przez drzwi “Wellingtona,” które szczęśliwym zbiegiem okoliczności oderwały się podczas wodowania. Wyrzuciło mnie na powierzchnię. Nie widziałem nic. Niekontrolowanym ruchem ręki uchwyciłem za jakiś przedmiot. Jak okazało się — było to śmigło tonącego bombowca. Kurczowo przylgnąłem do śmigła. I wówczas doleciał mnie tragikomicznie żartobliwy głos pilota:

—Chodź tu do nas, koteczku!

Zwróciłem wzrok w kierunku głosu. Reszta załogi stała już na skrzydle i manipulowała przy spuszczaniu *dinghy* /łodzi gumowej/. *Dinghy* była już na wodzie. Przedostałem się na skrzydło i dopłynąłem do niej. Jak najprędzej odbiliśmy od tonącego samolotu.

Pamiętam dobrze, że pilot, porucznik X., który odbył na tym samolocie około 30 lotów, powiedział wówczas z niekłamaną nutą rozpaczy w głosie:

—Moja “Baśka” idzie na dno!

Przypomnieliśmy sobie wówczas, że istotnie nasz bombowiec nosił imię Baśki.

Dinghy nie gwarantowała nam bezpieczeństwa na dłuższy okres czasu. Morze było wzburzone, woda lodowato zimna, a my — przemoczeni do ostatniej nitki. Spoglądaliśmy w niebo, oczekując przede wszystkim stamtąd ratunku.

Nie zawiedliśmy się. W górze nad nami rozległ się warkot śmigieł. To nasze bombowce powracały do baz.

Wystrzeliliśmy natychmiast rakiety i zaczęliśmy dawać sygnały latarką. Zauważono nas. Jak okazało się później, pierwsza spostrzegła nas załoga polskiego “Wellingtona.” Odsygnalizowali krótko: “O.K.”

Pewni już, że pomoc nadejdzie szybko — bohatersko trzęśliśmy się z zimna i walczyliśmy z falami. Po dwóch godzinach zaczął krążyć nad nami samolot ratowniczy. Napróżno usiłował on jednak wodować — morze było zbyt wzburzone. Pokręcił się i odleciał. Znowu zostaliśmy sami.

Nie minęła jednak godzina, gdy z wody wyłoniła się tuż przed nami mała kanonierka. Zasłaniały ją przedtem fale. Spuszczono łódź. W ciepłej kabinie czekał nas doskonały lunch i . . . pokaźna buteleczka “lekarstwa” na rozgrzewkę. Marynarze brytyjscy serdecznie się cieszyli, że goszczą na swoim pokładzie Polaków. Jednym słowem — *happy end.*

Gdy w kilka godzin potem wysiedliśmy na ląd w pewnym małym porcie, przyglądała się nam spora grupka ludzi. Jakaś staruszka, która niosła akurat koszyk jabłek, zmusiła nas, abyśmy je wzięli. A potem wszyscy nas ściskali. Bo, proszę pana — zakończył swoje opowiadanie — to jest największa “bujda” pod słońcem, że Anglicy nie są sentymentalni.

Jakby na potwierdzenie tego — w sąsiednim pokoju rozległo się “Preludium deszczowe” Chopina.

—Kto to gra? — spytałem.

—A, to nasza “Wafka,” zarządzająca kasyna. Kocha się w polskiej muzyce. Słodkie stworzenie.

“Preludium deszczowe,” kominek i prawdziwy deszcz za oknem dziwnie harmonizowały ze sobą. Byłem pewny jednak, że nagle — na polskiej stacji lotniczej stało się cieplej i jaśniej.

RYSZARD KIERSNOWSKI

Brytyjczycy, Amerykanie i Polacy walczą z Junkersami

W Anglii, w lutym 1943.r.

Z jednej z baz lotniczych Dowództwa Obrony Wybrzeża “gdzieś w Anglii” w kierunku na południowy-wschód leci “Wellington” oznaczony polskimi, biało-czerwonymi szachownicami. Mknie szybko poprzez chmurne niebo. Zadaniem jego jest spatrolowanie wód Zatoki Biskajskiej i atakowanie nieprzyjacielskich okrętów podwodnych.

Nie pierwsza to wyprawa polskiego dywizjonu w *Coastal Command*, który ma już na rozkładzie kilka okrętów podwodnych i samolotów nieprzyjacielskich. Dowódca a zarazem pierwszy pilot, drugi pilot, nawigator, radiotelegrafista, strzelcy przedni oraz tylni—wszyscy są na swoich stanowiskach. Zgrani są idealnie, znają się na wylot, działają, jak gdyby jeden człowiek, jedną myślą i jednym pragnieniem przepojeni. Załoga.

Czas mija spokojnie. Z daleka już widać słoneczne wybrzeże Hiszpanii. Nikną chmury, robi się ciepło. Czasem tylko delfin prujący powierzchnię morza wprowadza w błąd, “udając” aż do złudzenia peryskop okrętu podwodnego. Wprawne jednak oko nie da się zmamić.

Załoga polska nie jeden podobny patrol ma już za sobą. Wie ona dobrze, że z takiego patrolu równie łatwo się wraca jak i nie, że może motor “nawalić” lub nieprzyjaciel zaatakować. Ale o tym w tej chwili nikt nie myśli. Wszyscy zajęci są swymi czynnościami.

Gdy “Wellington” wykonał wyznaczone zadanie—rzuca ostatnie “pożegnalne spojrzenie” ku hiszpańskim brzegom, zmieniając kurs na północno-zachodni.

Nagle strzelec przedni melduje, że z boku, z prawej strony, zbliża się “Junkers.” Za chwilę pojawia się drugi, trzeci i czwarty. Zaczyna się zażarta walka.

Zwinne “Junkersy,” pewne swej przewagi, osaczyły powolny i ciężki w porównaniu z nimi bombowiec. Dobrze przystosowane są one do walki myśliwskiej. “Wellington” zaś umie razić bombami, trudno mu jednak bronić się przeciw pościgowcom.

Załoga polska mimo nierównych szans nie traci jednak nadziei. Strzelcy rażą ogniem przeciwnika. Pilot zaś pokazuje całą swą sztukę, mistrzowskie opanowanie maszyny. Gdy tylko Niemiec wydaje się mieć “Wellingtona” na celowniku, pilot polski nagłym skrętem pozbawia go możności celnego strzału. Raz w prawo, drugi raz w lewo, to znów w górę, lub w dół manewruje bombowiec, nie dając się trafić.

W pewnej jednak chwili strzały jednego z “Junkersów” przeszywają przednią wieżyczkę. Milknie karabin polskiego strzelca. Pilot “Wellingtona” stara się więc teraz tak manewrować, by pozwolić tylnemu strzelcowi atakować nieprzyjaciela. Niemcy jednak orientują się w sytuacji i prowadzą ataki tylko od czoła. Wydaje się, że pędzące na siebie samoloty zderzą się. Pilot polski panuje nad maszyną wspaniale. Za każdym razem — zdaje się, że w ostatniej już chwili—samolot z wyciem wykręca w bok, unikając zderzenia i ognia nieprzyjaciela.

Z daleka od lądu, tuż ponad falami wzburzonego morza—toczy się walka na śmierć i życie. Samoloty jak ptaki kołują, nagle zmieniają kierunek lotu, doskakują do siebie i odskakują. Można by sądzić, że to mewy, mistrzynie lotu harcują w powietrzu. . . .

Mijają minuty, które wydają się godzinami. Ręka pilotowi mdleje; pomaga sobie nogą w podtrzymywaniu steru. Radiotelegrafista nadaje meldunki do bazy, wzywając odsieczy.

Po 58 minutach Niemcy dali w końcu za wygraną. Nie zdołali upolować polskiego “Wellingtona”. Paliwo zaczęło się im widocznie kończyć i amunicja była na wyczerpaniu. Pilot widzi trzy odlatujące “Junkersy”. A gdzie czwarty? Czwarty poszedł na dno. To zasługa tylnego strzelca.

Bombowiec ląduje po zwycięskiej walce w najbliższej bazie angielskiej. Już go tam oczekują. Wóz sanitarny zabiera rannego. Obecni oglądają z podziwem ślady walki. Twarze Anglików mówią o uznaniu: z takiej sytuacji wyjść—to sztuka nie lada. Gratulują pilotowi.

Polacy zadowoleni z wykonanego zadania meldują przebieg walki. Jaka była ich radość, gdy dowiedzieli się, że “Junkersom” nie uszło płazem! Trzy “Beaufighter'y” zestrzeliły trzy “Junkersy” powracające po walce z “Wellingtonem”. . . .

W sali konferencyjnej *Air Ministry* zbierają się dziennikarze. Po chwili wchodzi czterech lotników. Dwóch Polaków, jeden Anglik i jeden Amerykanin. Zostają przedstawieni: kapitan E. A. L., podpułkownik J. B., polscy piloci, których nazwiska ze względu na ich rodziny znajdujące się w Polsce nie mogą być podane do publicznej wiadomości, —oraz Anglik *Squadron Leader* Cartridge i Amerykanin *Pilot Officer* White z Texasu.

Lotnicy, którzy przedwczoraj u brzegów Hiszpanii toczyli walkę o życie, uśmiechnięci opowiadają w zacisznej sali, ciekawym dziennikarzom “jak to było.” Mówią jednak niechętnie, widocznie zażenowani. Opowiadają o czynach pełnych bohaterstwa, poświęcenia i oddania sprawie ze skromnością i właściwą im prostotą.

Sq/L Cartridge opowiada, jak zestrzelił pierwszego “Junkersa”. P/O White wspomina o trzecim.

—“Miałem szczęście—mówi—spotkać Niemca nos w nos. No, i dałem mu. Jeden z motorów “Junkersa” dosłownie odleciał. Maszyna wpadła wprost do wody.”

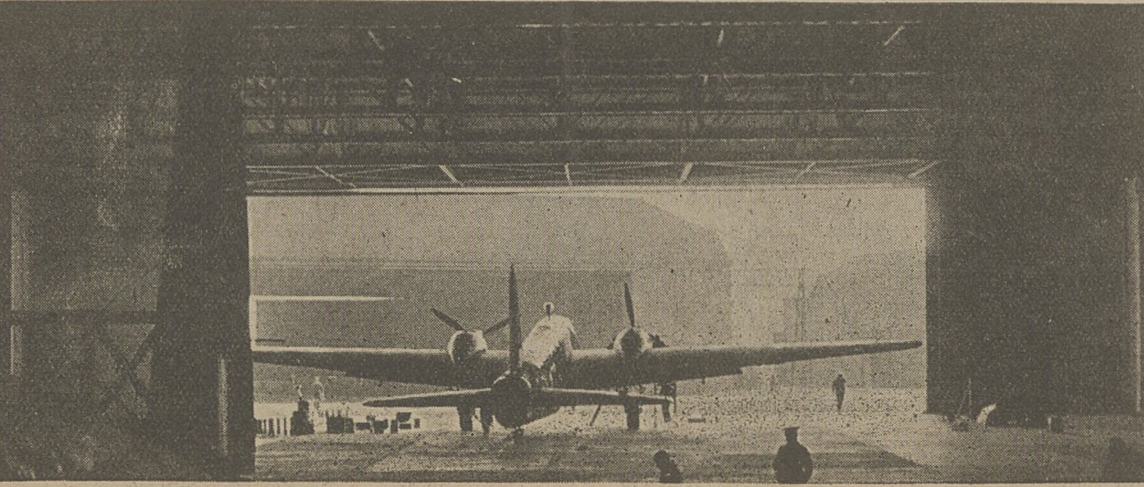
Dziennikarze zasypują pytaniami Polaków, którzy radząc sobie jak mogą z angielszczyzną, odpowiadają. Dopytują się o wiek ppłk. B. Ma on lat 46. Zebrani dziwią się, że w tym wieku ma on jeszcze ochotę latać. Jest on chyba jednym z najstarszych lotników biorących udział w lotach operacyjnych. Ppłk B. z zadowoleniem stwierdza, że dawniej pracował gdzieś w sztabie, ale mu się to znudziło i prosił o przeniesienie, by móc znów “polatać”. Bo to przecież wojna. Nad Zatoką Biskajską był to jego drugi lot operacyjny w Anglii. Ostatni raz przedtem walczył w Polsce, we wrześniu.

Anglicy dopytują się o walki w Polsce. Ppłk B. opowiada, jak w czasie kampanii polskiej atakował na bombowcu niemieckie kolumny pancerne. Stoczył wtedy walkę z niemieckimi “Messerschmidtami.” Nie walczyły one tak zacięcie, jak przed trzema dniami. W czasie tamtej walki był bowiem stosunek 3 : 3, a nie jak ostatnio 1 : 4.

No, ale i tak ta przewaga Szwabom na nic się nie przydała. Polacy obronili się sami, a Brytyjczycy i Amerykanie dokonali reszty.

A więc . . . stuprocentowa współpraca i zwycięstwo Aliantów!

WITOLD LEITGEBER



Z jeńcami przez Atlantyk

ODJAZD

—Nie potrzebuję wam chyba wyjaśniać, jak macie się zachować wobec jeńców. Należy postępować zgodnie z regulaminem, który mówi, że żołnierz polski nawet w jeńcu widzi człowieka i obchodzi się z nim zgodnie z zasadami prawa międzynarodowego — mówił dowódca naszego oddziału, wyznaczonego do eskortowania jeńców. — Jeńców nie wolno bić, ani źle traktować. Nie wolno z nimi rozmawiać ani spoufalać się.

Staliśmy w szeregu pod budynkiem czekając na przyszłych towarzyszy podróży, którzy już ładowali się na barki. Obok nas pracowali Arabowie. Nosili skrzynie, worki i wyładowywali ciężkie żelazne sztaby z wnętrza małego statku. Balony zaporowe wisiały nad rozżarzonym do białości miastem i morze parowało pod ciężarem afrykańskiego powietrza. Statki na redzie wyglądały, jak puszki z rozpalonej blachy. Było duszno.

Dowódca transportu coś objaśniał, lecz nie byłem w stanie go słuchać. Upał obezwładniał moją świadomość, przytłaczał i wyjaławiał wszelką myśl. Mimo woli czytałem litera po literze plakat propagandowy na ścianie budynku: "I znowu jeden konwój dobił szczęśliwie do portu." Pod napisem widniała karykatura Hitlera z pięścią wzniesioną ku górze i z twarzą skurczoną z bezsilnej wściekłości.

Na statku było goręcej i duszniej, niż na lądzie. Lekkie kołysanie przyprawiało wielu o mdłości. Prawie każdy czuł się nieswojo. W parę minut po zakończeniu załadowywania się — statek ruszył.

Niemiłe jest uczucie, gdy podróżuje się w towarzystwie ludzi wrogich, choć bezbronnych, gotowych w każdej chwili do buntu i do prób opanowania statku. Nieustannie trzeba się mieć na baczności, pilnować, śledzić, niedowierzać . . .

SZPITAL NA STATKU

Prawdopodobnie nie miałbym okazji do zetknięcia się bliżej z jeńcami, gdyby nie fakt, że zostałem przydzielony do szpitala jako tłumacz. Stało się to dlatego, że polskich lekarzy na statku nie było, angielscy zaś znali bardzo słabo język niemiecki. Ta funkcja pozwalała, a często nawet zmuszała do rozmów z jeńcami.

Na parę miesięcy przed wyruszeniem w tę podróż mieliśmy już do czynienia z jeńcami niemieckimi, wziętymi przez nas do niewoli w Libii. Wówczas byli oni nieco przerażeni i zaskoczeni biegiem wypadków. Nie mieli jeszcze czasu do namyślania się nad tak nagłą zmianą w ich życiu. Poza tym byli oni pod naszym nadzorem bardzo krótko, musieliśmy ich bowiem odsyłać na tyły. Teraz miałem przed sobą ludzi, którzy, po kilkutygodniowym lub kilkumiesięcznym pobycie w obozach jeńców, mogli się już ocknąć i względnie trzeźwo patrzeć na świat.

Praca w szpitalu dopiero się zaczyna. Mamy tylko dwóch chorych. Jeden jest Anglikiem, drugi Niemcem. Jeniec ma ciężką chorobę serca. Stan jego jest bardzo poważny. Pomagam mu porozumiewać się z Anglikami. Patrzy na mnie nienawistnym wzrokiem i mówi tylko to, co musi powiedzieć. Forma zwracania się do mnie jest szorstka, prawie ordynarna. Ze względu na jego cierpienia nie zwracam na to uwagi.

NIE MOŻNA KRYTYKOWAĆ FÜHRERA . . .

Wieczorem, trzeciego dnia podróży, sanitariusze przynieśli na noszach drugiego Niemca. Został ciężko poturbowany. Miał złamaną kość nosową i posiniaczoną twarz. Liczył ok. 20 lat. Na płowych włosach tego chłopca widać było zakrzepłą krew.

Niemiecki lekarz wprawnie opatruje rany i stłuczenia. Chory oddycha ciężko. Major, komendant szpitala, żąda wyjaśnień w sprawie przyczyn zajścia. Dowiaduje się, że jeniec został poturbowany przez własnych kolegów. Nie wiadomo dokładnie o co poszło. Jeden z naszych oficerów przeprowadza dochodzenie, lecz oczywiście z nikim nie dzieli się wynikami śledztwa. W każdym razie winni mają być ukarani.

Z powodu złamania kości nosowej lekarz założył choremu rurki, które ułatwiały mu oddychanie. Po kilku dniach stan zdrowia pacjenta znacznie się poprawił. Mimo to jednak stale musiał mieć dreny w nosie. Wkrótce miano mu założyć gips na kość nosową, żeby się równo zrosła. Postawiono koło łóżka parawan, by innym chorym oszczędzić obrzydliwego widoku okrwawionych i ropą nasiąkłych tamponów.

Okazało się, że jeden z sanitariuszy-jeńców, przydzielonych do szpitala, jest księdzem katolickim. Miał on stopień st. strzelca i usługiwał przy chorych. Wieczorem przyszedł zmienić choremu opatrunki. Słyszę cichą rozmowę za parawanem. Obaj nie wiedzą, że ich ktoś słucha. Ze zdań urywanych, z niedomówionych słów, stwarzam sobie rzeczywisty obraz zdarzenia. Chłopak jest katolikiem. Podczas pracy wraz z innymi jeńcami w kuchni, wdał się w rozmowę z Polakami. Pozwolił sobie wówczas po przeżytych przejściach na parę dosadnych, pełnych goryczy słów o rządach hitlerowskich i Führerze. Został za to pobity przez własnych kolegów. Sprawców pobicia nie zdołano odnaleźć, a chory nie chciał wymienić ich nazwisk. Bał się wydać winnych.

A więc terror sięgał poza granice państwa hitlerowskiego i poza strefy niemieckich wpływów. Potworna tresura ludzi doprowadziła ich umysły do stanu takiego rozbestwienia! Każda krzywda wywołuje jednak żądzę odwetu. Wyobrażam sobie, jak będą Niemcy mordować się nawzajem, gdy piekielna maszyna terroru załamie się i rozkruszy . . .

Patrzę na dziecinną twarz chorego, obrzydliwie zdeformowaną i pokrwawioną. Przychodzą mi na myśl miliony ofiar bestialstwa narodowych socjalistów, przychodzą mi na myśl dantejskie sceny prześladowań, których byłem naocznym świadkiem w Polsce.

"NIE WIADOMO"

Doktor, Niemiec, starannie i grzecznie omija wszelkie tematy polityczne, sili się na ogładę i często łamaną angielszczyzną wygłasza publicznie bardzo humanitarne poglądy. Kiedyś, gdy rozmowa zeszła na drażliwe tory oświadczył mi, że jest nadal "patriotą" i że nie wiadomo czyim zwycięstwem ta wojna się skończy. To "nie wiadomo" wypowiedział takim tonem, jak gdyby tylko przez delikatność unikał stwierdzenia, że Anglia przegra, jak "Amen" w pacierzu.

Z dnia na dzień przybywało pacjentów. Zdarzyło się kilka wypadków świerzba, jeden jeniec zachorował na tyfus, dwóch zaś na zapalenie płuc. Później przysłano nam marynarza z podrażnieniem ślepej kiszki.

Dwunastego dnia podróży, nad ranem, ktoś mnie obudził z ciężkiego snu. Był to sanitariusz. Mówił coś do mnie, lecz w półśnie nie zdawałem sobie sprawy o co mu chodzi. Do świadomości mojej dotarło tylko słowo "dead," a po chwili drugie słowo — "Padre." Oprzytomniałem. Okazało się, że jeden z jeńców umarł na tyfus i chodziło o to, aby przeprowadzić księdza przez posterunki, ustalić czas pogrzebu i załatwić inne formalności.

Na pokładzie zebrali się Anglicy, Polacy i Niemcy. Ciało zmarłego było nakryte płótnem okrętowym. Na pomoście stał trębacz. Ksiądz-sanitariusz nie miał ze sobą szat liturgicznych za wyjątkiem stuły. Włosy jego rozwiewał wiatr, który przewracał również kartki psałterza. Dziwnie brzmiały na wietrze łacińskie słowa.

Po pogrzebie wszyscy rozeszli się. Poszedłem z księdzem na dolny pokład. Miałem go przeprowadzić przez posterunki. Musieliśmy razem pójść do kancelarii, by tam złożyć do depozytu papiery zmarłego i sporządzić z lekarzem akt zejścia. Przejrzałem drobiazgi po nieboszczyku, dokumenty, fotografie i listy. Z książeczki wojskowej wynikało, że zmarły miał 25 lat, był st. strzelcem i niedawno został odznaczony Żelaznym Krzyżem za walki w pustyni. Jedna z fotografii przedstawiała postać przystojnej kobiety z dwojgiem drobnych dzieci. Z napisu na odwrocie domyśliłem się, że to żona i dzieci.

—Ile nieszczęść spowodowała ta wojna — próbuję nawiązać rozmowę z kapelanem.

Ksiądz-jeniec odpowiada po długim namyśle:

—To wszystko dlatego, że ludzie nie postępują według praw boskich.

Rozmowa się nie klei. Na pytanie, czy uważa wojnę prowadzoną przez Niemców za słuszną, odpowiada:

—Do pewnego stopnia . . .

O prześladowaniach narodów podbitych wyraża się z pewnym oburzeniem, lecz dodaje:

—Tych rzeczy nie należy uogólniać, zresztą w pewnych wypadkach jest to nieodzowny środek rządzenia podbitymi narodami.

Przesiedlenia nie są — zdaniem księdza — tak bardzo dotkliwe dla przesiedlanych. Łatwo mi się domyśleć, że ksiądz ten nie był nigdy w Polsce. Nie zaprzecza wcale tego, lecz zarzuca mi przesadę i jednostronność. Istotnie! Cierpienia ludności w krajach okupowanych są jednostronne. Tylko jedna strona cierpi. Druga zastanawia się, jak te cierpienia zadawać . . .

Na tym rozmowa się kończy. Idziemy na górę, do kancelarii.

ARESZTOWANIE SABOTAŻYSTY

Po powrocie z kancelarii dowiaduję się od jednego z wartowników, że przychwycono Niemca, który usiłował popsuć maszyny i zatrzymać statek. Przez kilka dni pracował przy pomocy dwóch ukradzionych sztabek żelaznych i kawałeczka stalowej linki nad otworzeniem drzwi hermetycznych, dzielących dolny pokład od hali maszyn. Złapano go, gdy już dostał się do wnętrza. Miał ze sobą worek piasku, który znajdował się w każdej kabinie na wypadek pożaru. Niemiec zamierzał widocznie nasypać piasku do maszynerii okrętu, aby ją w ten sposób unieruchomić. Aresztowano paru jeńców, podejrzanych o współudział. Sąd miał się odbyć po przybyciu na miejsce przeznaczenia. Tymczasem oskarżonych trzymano na wartowni.

Wielu z jeńców było w Polsce w czasie wojny lub w czasie okupacji, jednak żaden z nich wobec Polaków do tego się nie przyznawał. Obawiali się dobrze zasłużonej zemsty z naszej strony. Niektórzy z pomiędzy nich byli na froncie rosyjskim. Ci byli najbardziej małomówni, zamknięci w sobie i ponurzy.

JAK TO BYŁO POD KUTNEM

Przypadkowo jeden z Niemców przyznał się, że brał udział w walkach w Polsce. Jakiś Anglik zapytywał go, gdzie zdobył odznaczenie wojskowe, które nosił na piersiach.

—W wojnie z Polakami — odpowiedział Niemiec.

Zapytałem go o szczegóły. O bitwie pod Kutnem wyraził się:

—Było tam bardzo ciężko.

Wypytuję go o dalsze szczegóły.

—Trzeba przyznać — powiada — że upór w obronie i przeciwnatarciach ze strony polskiej był zadziwiający. Na szczęście Polacy nie mieli sprzętu technicznego. Dlatego musieli przegrać. Gdyby go mieli — byłoby z nimi bardzo, bardzo trudno.

Wyjaśnień tych jeniec udzielił, biorąc mnie za Anglika, na Środkowym Wschodzie bowiem oddziały nasze nie nosiły napisów "Poland."

"FÜHRER WIE CO ROBI!"

Jeden z pacjentów-jeńców leży w kącie sali, chory na zapalenie płuc. Stan jego jest poważny, chociaż choroba już się przesiliła i gorączka spada. Chory może już rozmawiać bez szkody dla zdrowia. Z rozmowy z nim dowiedziałem się, że pochodzi z Lipska i jest tokarzem.

Rozmowa toczy się o jego mieście rodzinnym, o wojnie, o walkach w pustyni. Chłopak pokazuje mi zdjęcia statku, na którym płynął z Włoch do Afryki. Pokazuje fotografię statku po nalocie angielskim. Widać pokład porozbijany od pocisków, widać mostek kapitański zupełnie zniszczony, maszty połamane i poplątane liny. Statek ten jednakże dopłynął do miejsca przeznaczenia.

Pytam go, co sądzi o końcu wojny. Odpowiada bez wahania. Wierzy święcie w zwycięstwo swego kraju, Rosja — mówi — załamie się szybko, a wtedy Niemcy zdobędą tyle materiału i surowców, że będą w stanie podbić cały świat. Wtedy załatwią się z Anglią, a Amerykanie zrozumieją, że Europa nie jest ich "przestrzenią życiową."

Przedkładam mu kontrargumenty: Amerykanie rozbudowują przemysł wojenny, lotnictwo Sprzymierzonych stale wzrasta liczbowo, ulepsza typy maszyn. Alianci mają jeszcze olbrzymie, nienaruszone rezerwy ludzkie. Niemiec odpiera te argumenty legendarnymi opowieściami o przemożnej potędze Japonii, o gotującej się rewolucji w Rosji. Zaczyna bredzić o potwornej liczbie okrętów podwodnych, grasujących na wszystkich morzach i oceanach. Potem, gdy brakuje mu logicznych uzasadnień, fantazjuje:

—Führer wie co robi . . . Mamy takie jeszcze środki walki, o których ludziom nawet się nie śniło . . . ! Świat przekona się jeszcze o tym, ale wtedy będzie zapóźno.

Hitlerowiec nie znajduje żadnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego Hitler jeszcze nie użył owych środków. Chcę dowiedzieć się od niego, co myśli o prześladowaniach podbitych narodów. On też twierdzi, że to przesada. Uważa, że zasadę odpowiedzialności zbiorowej należy stosować celem uniknięcia sabotaży i napadów. Widocznie nie zdaje sobie zupełnie sprawy, do jakiego stopnia rozbestwienia doszli jego współplemieńcy. Nie oburzają go wprawdzie opowiadania o zachowaniu się Niemców w podbitych krajach, ale nie dowierza mi, chociaż podaję mu dokładne dane i suche fakty. Wreszcie pyta mnie, skąd ja o tym wszystkim wiem. Czy czasem nie z gazet brukowych? Bardzo jest zdziwiony, gdy mu tłumaczę, że byłem naocznym świadkiem i że jestem Polakiem. Rozmowa się urywa. Chory milczy i patrzy na mnie złym wzrokiem. Po chwili mówi:

—Polska spowodowała wojnę. Polska ponosi winę.

Odchodzę.

PRÓBA UCIECZKI

Zaopatrujemy się w paliwo w brazylijskim porcie, którego nazwy, ze zrozumiałych względów, nie podaję. Stoimy na redzie dwa dni. Nikomu nie wolno wychodzić na ląd. W nocy reflektory oświetlają burty statku, aby żaden jeniec nie próbował ucieczki. Niemcy są podnieceni bliskością lądu. Każdy z nas także syci oczy zielenią pól i widniejących w dali lasów. Miasto wygląda radośnie i kolorowo.

Przy końcu drugiego dnia postoju policja przywozi dwóch zbiegów, którzy uciekli z naszego statku. Jak to zrobili — trudno powiedzieć. Policja portowa wyłowiła ich przed świtem z wody, gdy już dopływali do brzegu. Pomogły im w tym przedsięwzięciu pasy ratunkowe. Wracają pod eskortą zmoczeni, drżący z zimna, rozczarowani. Jeden natychmiast idzie do szpitala. Ma gorączkę. Przeziębił sobie nerki.

Stan jeńca, chorego na zapalenie płuc, znowu się pogarsza. Trzeba robić transfuzję krwi, żeby go uratować. Po transfuzji chory czuje się dużo lepiej. Sam zaczyna ze mną rozmowę. Chce porozmawiać o rodzinnym mieście.

Pyta naiwnie, czy tam, gdzie w Polsce mieszkałem, było też dużo gołębi i czy sobie spokojnie chodziły po placach i rynkach. Odpowiadam twierdząco. Opowiada mi, że bardzo lubił w niedzielę przed południem chodzić na spacer i karmić gołębie na przestronnym placu Augusta.

Później prosi mnie, abym mu przyniósł jakieś pisma ilustrowane. Przynoszę mu kilka ilustracyj. Wśród ilustracyj znajduje się numer czasopisma "*Life*," w którym zamieszczone zostały opisy okrucieństw niemieckich w Polsce i artykuł wyszydzający kłamstwa Hitlera. Zostawiam chorego nad ilustracjami. Wracam po godzinie. Gazety leżą na ziemi koło łóżka, a ów numer "*Life*" — porwany i rzucony w kąt. Chory śpi.

Codziennie przed południem wyprowadzano Niemców na górny pokład na przechadzkę. Przechodzili parami milcząc przez długie, kręte korytarze statku. W korytarzach tych były napisy: "*Way to the boats.*" Któryś z jeńców dopisał ukradkiem dużą literę "*U*" przed wyrazem "*boats.*" Mieli widocznie nadzieję, że jakaś niemiecka "*U-Boat*" zatopi nas, a ich zabierze ze sobą.

Gdy schodzili do kajut i sali jadalnej — mijali posterunki z takim wyrazem twarzy, z jakim czasem ludzie mijają odźwiernego lub lokaja, stojącego przy drzwiach. Przejście i niewola, skądinąd bardzo lekka i humanitarna w porównaniu z niemiecką, nie poprawiły ich ani trochę, nie pozbawiły prusackiej buty. Przeważnie byli to młodzi ludzie, a więc pokolenie wychowane na zasadach hitlerowskich.

ROZMOWA Z "INTELIGENTNYM" NIEMCEM

Duszna atmosfera dolnego pokładu podczas dwukrotnego przekraczania równika wyczerpywała siły pilnujących i pilnowanych. Już wszyscy mieli dość tej podróży. W szpitalu przybywało coraz więcej pacjentów. Na szczęście wypłynęliśmy poza Zwrotnik Raka i temperatura zaczęła obniżać się w miarę, jak posuwaliśmy się na północ. Za to morze bardziej kołysało i wielu cierpiało na chorobę morską.

—Czy pan doktor sądzi, że Niemcy wygrają wojnę? — zwracam się do niemieckiego lekarza, który stoi obok mnie w drzwiach ambulatorium.

—Tak — odpowiada krótko jeniec.

—Czy mógłby pan wytłumaczyć, na czym pan opiera swoje twierdzenie?

—Trudno mi to tak od razu umotywować — odpowiada lekarz — proszę pana, ja po prostu wierzę . . . Ja wierzę . . . Tak, ja nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Płyniemy na statku zbudowanym i poruszającym się dzięki pewnym, określonym zasadom fizyki. Nic tutaj nie dzieje się bez przyczyny, bez oczywistego związku z innymi zjawiskami. Sztuka lekarska polega także na umiejętnym wykorzystaniu praw przyrody, gdzie ogólną zasadą jest przyczynowość. Pilnie obserwuję twarz doktora. Twarz ta ma wyraz inteligentny i myślący. Nie mogę pojąć, jak to się dzieje, że człowiek, ustawicznie stykający się z bezwzględnością następstw, przyczyn i skutków, wierzy p o k o r n i e i przyjmuje doktryny tak trudne do przyjęcia dla każdego, kto skutecznie i wprawnie posługuje się swoim rozumem.

KRES PODRÓŻY — U.S.A.

Okręt kołysze się, morze jest burzliwe, niebo pochmurne. Zwrotnik daleko poza nami. Łatwiej jest oddychać i minął nerwowy lęk i podniecenie, wywołane dusznością i gorącem.

Jeńcy leżą spokojnie na dolnym pokładzie. Jedni z nich grają w karty, drudzy czytają lub rozmawiają. Niektórzy siedzą na pasach ratunkowych i nieruchomo wpatrują się w malowaną olejną farbą burtę okrętu. Siedzą tak bezbronni i ujarzmieni, zdawać by się mogło obłaskawieni sprawcy tylu nieszczęść.

Przypominam sobie podobne twarze, podobne mundury. Jaka buta biła z nich, gdy jako zwycięzcy przechadzali się po ulicach zrujnowanej Warszawy! Kiedyś — na widok swastyki, żołnierzy lub policji niemieckiej doznawałem dreszczów trwogi. W tej chwili mam ich przed sobą unieszkodliwionych, pozbawionych straszliwych narzędzi ucisku i mordu. Jestem Polakiem i jestem ich nadzorcą. Budzi się we mnie czysto ludzkie uczucie satysfakcji.

Zbliżamy się do kresu podróży. Płyniemy uczęszczanym szlakiem. Obok nas pojawiają się statki i okręty wojenne, zaczynają krążyć amerykańskie samoloty. Na ich widok Niemcy jak gdyby pokornieją. Po kilkudziesięciu godzinach — stajemy u wrót portu.

Z przyjemnością pozbywamy się towarzyszy podróży. Część szpitala odchodzi z pacjentami niemieckimi. Zamieniam jeszcze kilka słów z lekarzem niemieckim:

—Może się kiedyś spotkamy, panie doktorze, kiedyś, po wojnie — ręczę panu, że wówczas zmieni pan napewno zdanie co do tego, czy ta wojna była potrzebna, czy nie.

—Może . . . — odpowiada doktor i wchodząc już na trap obraca się i mówi: — Do widzenia.

Jeńcy schodzą szeregiem z tobołkami po trapie na pokład statku, na którego maszcie dumnie powiewa gwiaździsta flaga.

Nie patrzą na nas.

WITALIS PILARZ

Bez black-outu

"... As the Polish Squadron stationed for some time in E ... we should like to say something about the town whose name we bear — the City of Lwów ...

Tak zaczynają "Lwowscy Puchacze" dodatek do ulotki programowej wydanej przez nich w bardzo pięknej szacie z okazji naszej "Polish Panorama" w E ... Na tytułowej stronie połączono uderzająco podobne do siebie herby dwóch miast związanych wspólną dewizą: SEMPER FIDELIS i — wierzymy w to — stałą już i wierną przyjaźnią. Ta "proud device" — jak piszą nasi nocni myśliwcy — "was given to the city in 1659 by Jan Kazimierz, King of Poland, Duke of Lithuania, Ruthenia, Prussia etc. /miał szczęście król Jan Kazimierz, że się pośpieszył i wyprzedził wszelkie "protesty" prawie o 300 lat/.

..."We should like to say something" ... — piszą skromnie "Puchacze," a tymczasem nie tylko, że "something," ale powiedzieli o Lwowie "everything," potrafili wpoić w E ... czyków czar naszego miasta, skoro poważni ojcowie "ozdoby Devonu" na świeżych gruzach swoich zbombardowanych domów powzięli uchwałę pomocy w odbudowie Lwowa po tej wojnie i ogłosili "The City of Lwów" swoim wybrańcem, któremu zapewniają opiekę.

Pokrzepili nas "ojcowie" E ... i umocnili w przeświadczeniu, że Brytyjczycy dobrze widzą i słyszą, że akcentują pewne rzeczy we właściwym czasie i że ... są nam wierni. Myślę, iż pozostaną wierni, mimo, że tak często i zbyt pohopnie może sugerujemy im w chwilach zrozumiałego nawet żalu — "cudzołóstwo polityczne." Nie wmawiajmy w nich wiarołomstwa, przeciwnie w chwilach "kryzysu małżeńskiego" mówmy im o naszym zaufaniu. Może oni nie wczuwają się tak głęboko w nasze położenie, może nie zawsze nas dobrze rozumieją, ale napewno chcą być stali w swych uczuciach i zgodni z naszymi uczuciami. Poza tym warto w takich momentach, jakie obecnie nastręcza sytuacja polityczna, odróżniać poważną i decydującą opinię brytyjską od mówców w Hyde Parku i nie zawsze odpowiedzialnych wybryków angielskich typków prasowych, goniących za oryginalnością.

Myślę, że bardzo ucieszyłby się dzisiaj lwowski batiar z Łyczakowa czy Zamarstynowa, gdyby jakimś cudem doszła do niego wiadomość, że jest na świecie drugi: "Semper Fidelis," czyli "tępy widelec" — jak mawiano w okolicy Mącznej na górnym Łyczakowie. Ucieszyłby się lwowski batiar, że ten drugi "Semper Fidelis" jest tu w Anglii, że kocha "Lwowskich Puchaczy," którzy nocą bronią nieba angielskiego przed Szwabami. Już słyszę prawie takiego Pietryka lub innego Niuśka jak bałaka: — "Ta co ty mnie jura suniesz, ta gdzie to prawda! Nie ma takiego drugiego na świecie, nima. Jest jeden fidelis Lwów i koniec"!

Gdyby udało się nam go nawet przekonać mruknąłby pod nosem ze źle ukrytym zadowoleniem: — No, fajno, fajno, jak już jest, niech będzie ... Ino niech "szwejnery" przysyłają na odbudowy, bo te zatelepane okupanty serdecznie nam nasze miasto zmarnowały" ...

Taki to jest "naród" w tym mieście opętanym polskością.

"... This town in its gaiety, with its proud history, with its love for fatherland, is one of the fairest cities in Poland" ... Macie rację lotnicy. Dobrzeście to Anglikom w tym programie wyłożyli.

"... With its love for the fatherland ..." Tak tak, szalona to miłość, czasem ponad siły, czasem ... bez wzajemności na przestrzeni historii, czasem wystawiona na ciężkie próby i doświadczenia, ale zawsze w końcu zwycięska, zawsze wierna.

Dziwnie jakoś czytam dzisiaj ten program, wydany przez lwowskich lotników tu w Wielkiej Brytanii. Dziwnie. Niby czytam to po angielsku, a widzę ... po lwowsku.

"... Quite a few British businessmen used to visit Lwów before the war during its fair, which was the most important one in Eastern Europe. They certainly remember its beautiful setting of its broad beflowered streets, the gay and friendly crowds that thronged them ..."

I tak dalej i tak dalej. Nie mam okularów businessmana angielskiego. Przymykam oczy. Tak to Plac Targów Wschodnich ... W świetle zachodzącego słońca stanąwszy na schodach Pawilonu Sztuki, twarzą zwrócony w stronę kopca Unii Lubelskiej, patrzę na miasto ogrodów, dostojnych wież kościelnych, na miasto tradycji polskich. Ponad wierzchołkami drzew wielkiego lasu, któremu na imię dano Park Stryjski ogarniam wzrokiem miasto powagi i miasto uśmiechu. Idę w dół krętymi ścieżkami parku przez Pułaskiego, Zyblikiewicza, koło kwitnących magnolii w ogrodzie "leśników."

Mijam znajome twarze — uśmiechają się do mnie. Pewnie już wiedzą o E ... Napastliwa dziewczynka z fiołkami towarzyszy mi od rogu Akademickiej, a koło Kasyna Literackiego nieszkodliwą paradę urządza lwowski "świrk" Mayer. Pod Bankiem Hipotecznym porozumiewawczo mrugają do mnie posłańcy w czerwonych czapeczkach: — "Może fiołki odnieść panie dobrodzieju, może jakiś list ... ?"

List? Nie. Nie mam żadnego od roku.

...Fiakry lwowskie grają na kozłach w "sześćdziesiąt sześć" albo rżną w "preferka" tylko czasem zakłóca im sielankę portier z Hotelu George'a donośnym: "Dawaj, dawaj." Na przystanku—wiecie—tam gdzie ławeczki, no ... na placu Halickim stara, popularna babcia-kolporterka, powtarza do znudzenia: — "Wiek, Wiek, panuńciu, dać "Wiek" ? "Wiek Nowy" panunciu .. "Na ławkach siedzą emeryci z gazetami i politykują ... Podobno — nota? Jaka nota? Nie gadajcie głupstw!

Po Halickiej chodzi batiar z krawatami na patyku i woła: — "Ano do mnie. Amerykańskie krawaty na raty. Do wyboru, do koloru! Prawdziwy jedwab, z prawdziwego jedwabiu ..." Ślepa Mińcia otoczona gawiedzią i szacunkiem batiarów gra na starej harmonii: "W dzień deszczowy i ponury" ... Ktoś mnie trąca. — "Słyszałeś już? Nota. Jaka nota? W sprawie Lwowa? Jaka może być w tej sprawie nota?"

... "The gay and friendly crowds ..." Friendly, owszem, ale potrafiliby powiedzieć, o, potrafiliby powiedzieć do słuchu batiary lwowskie! Porozstawialiby takiemu od noty familię po kątach. Potem poszliby całą kupą pod pomnik pana Kilińskiego albo Głowackiego, że to niby obydwaj umieli niezgorzej stawać w takich sprawach. Ojcu Fredrze, co z Napoleonem chodził na wyprawy, też dostałby się w takim momencie wianuszek od Klimowicza. A napewno wymyśliliby jakąś paskudną, złośliwą piosenkę o nieproszonych "oswobodzicielach" ... Ej wygarnąłby im pan Smolka, gdyby się ruszył z pomnika lwowskiego!

... "Lwów has been destroyed by the barbarians many times and has had to be rebuilt again ..." —piszą "Lwowskie Puchacze"— "You, therefore, appreciate the reason why we love E ..., more especially after German air raids than we did before ..." Ten zbombardowany E ... deklarujący odbudowę Lwowa, to niewątpliwie najpiękniejszy akt przyjaźni polsko-brytyjskiej w tej wojnie. Akt symboliczny: miasto zniszczone przez nieprzyjaciela obiecuje pomóc miastu zagrożonemu po raz drugi ...

Powiedział dowódca "Lwowskich Puchaczy": — "Wzięliśmy się do mówienia prawdy Anglikom, bo przez dłuższy czas Niemcy po nocach nie latali" ... Panie Pułkowniku. Jestem pewny, że Niuśko z Łyczakowa, czy Pietryk z Gródka będą kiedyś dumni z Waszego dywizjonu. Ciągnąc "browar" będą powtarzać: — "Fajno magulali i o Lwowie wszystkim Anglikańcom szczerą prawdę bałakali ..."

Tak, tak. Tak będą mówili o Was. I to może będzie najpiękniejszą nagrodą, milszą od pompatycznych oracji i wysokich pochwał. Tak powie ulica lwowska "the gay and friendly crowds."

Brytyjczycy docenili już teraz ten "spirit," który panuje w Dywizjonie, duch lwowski. Dali "Puchaczom" najlepsze, najśmiglejsze maszyny, wyposażyli znakomicie. Opowiada jeden z lwowiaków: — "Bracie, gdy dzisiaj w nocy spotykamy Niemca, to jeden do drugiego mówi radiem całkiem spokojnie: "Szpanuj, Pitolku, jak się z tego frajera będą zaraz wióry sypały!" Drugi dodaje: — "Bo takie mamy maszyny, taką siłę ognia i tacy jesteśmy pewni przewagi."

W czasie tego niezapomnianego wieczoru w E ... śpiewaliśmy z nimi ich piękną piosenkę dywizjonową. Uczył nas autor tekstu J. Baykowski. Kompozytor J. Maliński był w "readinesie" na lotnisku, a może nawet grał już na maszynce nową piosenkę jakiemuś zabłąkanemu "singlowi" niemieckiemu.

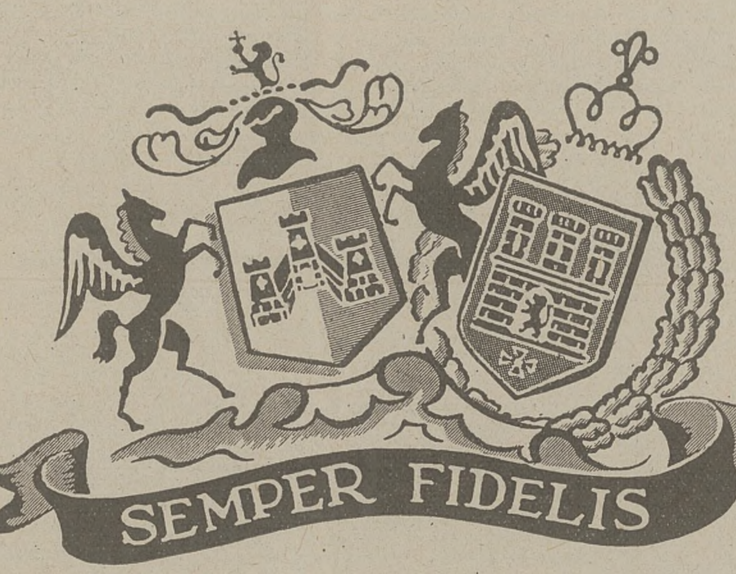
Dziwna jest ta ich piosenka dywizjonowa: kresowa, stepowa, dzika. Chwilami jakby rozmyślnie brutalna. Ale w sumie mocna i prosta. Piosenka żołnierska. Dopiero w trzeciej strofie odnajdujemy ... sentyment. Trochę nieuchwytny, ukryty, sentyment z akcentem determinacji zawadiackiej i szczerej. Znamy to. To sentyment lwowski.

"... To nie jest ważne, czy wrócimy
Krzyż dadzą, czy postawią gdzieś,
Byle do Kraju i rodziny
Dotarła o zwycięstwie wieść.
A kto doleci z nią do domu
Za wszystkich, co nie wrócą tam—
Zanuci piosnkę Dywizjonu
I każe podać wina dzban."

Dolecimy "Lwowscy Puchacze." Dolecimy z wiatrem, wbrew wiatrom, dolecimy z bijącym sercem nad "Semper Fidelis," wylądujemy w Skniłowie i chyba ... najpierw każdy jeden skoczy do "chałupy." A po tym zapraszam Was na "wina dzban" do Janowa. Na królewski miód.

O ile "the barbarians" do reszty go nie wytrąbili.

WIKTOR BUDZYŃSKI



Fragment programu z herbem Lwowa i miasta E.

Skrzynka pocztowa

AIRCRAFT RECOGNITION

Szanowny Panie Redaktorze,

Tuż przed samą wojną odwiedził mnie kolega z Lidy i pytał zainteresowany bardzo jak wygląda "Łoś" i jaka jest jego charakterystyka. "Łoś" w służbie był już prawie od roku, ale nie zdziwiła mnie "ignorancja" mego kolegi, bo wiedziałem, że nie miał on okazji nie tylko obejrzeć tej maszyny, ale nawet nie miał sposobności dowiedzieć się fachowych o niej danych.

Kolega mój, który chciał wiedzieć wszystko o "Łosiu," a nawet nie znał jego sylwetki nie był wyjątkiem. Nie było bowiem u nas możliwości zapoznania się z nowymi maszynami, jeśli nie miało się z nimi bezpośrednio do czynienia. Rezultatem tego było, że nie znaliśmy maszyn własnego lotnictwa, a cóż dopiero mówić o maszynach lotnictwa obcego. Podczas kampanii wrześniowej ta nieświadomość kosztowała nas bardzo wiele i mściła się tragicznie. Otóż zdarzyło się, że własny myśliwiec zestrzelił "Karasia" tuż nad lotniskiem, oczywiście nie ze złej woli, lecz dlatego, że go nie rozpoznał. Artyleria p/lot. często strzelała do własnych samolotów i niejeden zestrzeliła. Nie należy się dziwić, że obsługa działa nie znała sylwetki własnego samolotu skoro nie znał jej także dowódca baterii.

Lotnictwo nasze zbyt było małe, aby mogło pozwolić sobie na takie straty. Nawet gdyby było dużo silniejsze, czyż straty te były potrzebne i czy nie dało by się ich uniknąć? Bezwzględnie możnaby ich uniknąć, gdyby obsługa działa p/lotniczego, załoga czołgu, kawalerzysta i wreszcie żołnierz piechoty, który krył się przed własnym lotnikiem i nieraz do niego strzelał — umieli rozpoznać typy samolotów i wiedzieli, czy są one własne czy nieprzyjacielskie. Znaki na samolotach nie są tak ważne, gdyż ze znacznej odległości nie można ich zaobserwować, natomiast sylwetkę samolotu widać już z daleka i łatwo ją zidentyfikować.

Nigdy nie doceniano u nas, jak wielkie znaczenie ma rozpoznawanie samolotów, najlepszym dowodem tego było, że nawet w Szkołach Podchorążych nie wykładano takiego przedmiotu. O ile wiem także i przeszkolenie w obronie przeciwlotniczej nie obejmowało nauki sylwetek. Wielka to szkoda, bo artyleria nasza strzelała bardzo celnie.

Czy nie warto wspomnieć, że nie mieliśmy, ani pism z tej dziedziny, ani odpowiedniej literatury, ani filmów, ani instruktorów tak nam potrzebnych. Wszystko to było dla nas niedostępne i okryte tajemnicą. Niestety niepożądani i niepowołani wiedzieli o wszystkim dokładnie.

Może źle zrobiłem, zaczynając od przeszłości, ale nie mam zamiaru krytykować, chcę jedynie podkreślić naszą nieznajomość przedmiotu w chwili wybuchu wojny i chcę także zapytać, co zrobiliśmy dotąd w tej dziedzinie? I co planujemy na przyszłość?

W Wielkiej Brytanii tak zwana "*aircraft recognition*," była przed wojną zaniedbana, ale obecnie postawiona jest bardzo wysoko. Szybko zorientowano się, że naukę *recognition* należy włączyć do programu szkolenia zarówno personelu latającego, jak i ziemnego oraz innych broni i służb, a także spopularyzować jak najszerzej wśród społeczeństwa. By zdobyć podstawowe wiadomości z zakresu rozpoznawania samolotów wystarczy pójść do jakiejkolwiek księgarni i z obszernego działu *recognition* wybrać sobie książkę, broszurę lub kupić parę pism jak "*Flight*," "*Aeroplane*," "*Spotter*" i t.p. — wszystkie te wydawnictwa pełne są doskonałych fotografii, dokładnych opisów poszczególnych maszyn, testów z odpowiedziami, które bardzo ułatwiają naukę.

Dziś rozpoznawanie sylwetek stało się modne, w pismach zupełnie niefachowych pojawiają się zagadki: "co to za samolot?" a w dziale: "jak dużo wiesz?" coraz częściej znajdują się pytania z dziedziny rozpoznawania sylwetek. Wśród społeczeństwa cywilnego jest cały szereg służb obrony biernej, których członkowie obowiązani są rozpoznawać samoloty. Młodzież uczy się *recognition*, z zapałem odnosząc się do tej nowej gałęzi sportu. Przeciętny obywatel wie, że "Typhoon" to szybki i silnie uzbrojony myśliwiec, a "Lancaster" to duma lotnictwa bombowego.

I znów pytanie. Jak obecnie przedstawia się znajomość sylwetek w naszym wojsku? Rozmawiałem niedawno na ten temat z oficerem piechoty, który przyjechał ze Szkocji. Przyznał mi się, że zna tylko sylwetkę "Lysander'a" i "Spitfire'a," ale co do "Spitfire'a" też często się myli. Nie miał pojęcia jak wygląda "Do. 217" czy "Ju. 22," a "Savoia, Marchetti 19" czy "Mitchell" to dla niego tylko egzotyczne nazwy. A szkoda, bo samoloty te latają w obecnej wojnie, która, jak wiemy, jest w wielkiej części wojną lotniczą. Mój znajomy ze Szkocji zdaje sobie z tego sprawę, jest ciekawy, jak wyglądają samoloty, o których mu mówię, ogląda sylwetki i zdjęcia samolotów, interesują go bardzo modele, zadaje wiele pytań. Nie jestem w stanie opowiedzieć mu dużo w ciągu krótkiej rozmowy, ale wiem, że już nie będzie się mylił co do "Spitfire'a."

W lotnictwie oczywiście *recognition* nie stoi tak źle, chociażby dlatego, że personel szkolony obecnie musi przejść egzamin z rozpoznawania samolotów, ale nie jestem całkowicie pewien, czy wszyscy nasi lotnicy znają sylwetki dostatecznie. Istnieje niebezpieczeństwo zestrzelenia przez zapalczywych myśliwców własnych maszyn bombowych. Ogromnie ważną jest znajomość sylwetek własnych i obcych i drogo mogą kosztować wszelkie braki w tej dziedzinie. Koszt jednego zestrzelonego dajmy na to "Liberatora" wraz z załogą, czy nawet "Wellingtona" przewyższałby koszty wyszkolenia instruktorów i wydania kilku tysięcy egzemplarzy podręczników. Anglicy zdają sobie doskonale sprawę, jak bardzo opłaca się nauka sylwetek i dlatego postawili ją na bardzo wysokim poziomie i przywiązują do niej wielką wagę.

Niedawno ukończyłem specjalny kurs instruktorski "*aircraft recognition*" i miałem możność przekonać się, jak duże stawiają teraz wymagania w tej dziedzinie. Kurs ten miał na celu bardzo dokładne zapoznanie się z sylwetkami, pogłębienie i rozszerzenie wiadomości, a prócz tego prowadzone były wykłady o sposobie nauczania i demonstrowania. Muszę dodać, że na kursie tym byli nie tylko lotnicy, ale byli także żołnierze wojsk ziemnych i przedstawiciele cywilnych służb pomocniczych.

Widząc jak silny nacisk kładzie się obecnie na *aircraft recognition*, stanąłem znowu przed pytaniem "jak ta sprawa przedstawia się u nas?" i jednocześnie przyszło mi na myśl, czy nie można by przeprowadzić krótkich kursów rozpoznawania dla naszych broni ziemnych i marynarki. Jak bardzo było by to pożądane, zdaje mi się, że już udowodniłem i zaznaczyłem także, że nie brak u nas zainteresowania i ochoty do nauki.

Pozostaje tylko kwestia organizacji. Zdaję sobie sprawę, że organizowanie kursów dla większej ilości słuchaczy trwało by niezmiernie długo i było by bardzo skomplikowane i napewno natrafiłoby się na wiele trudności. Sądzę więc, że najłatwiej byłoby wyszkolić kadrę instruktorów, którzy z kolei przeprowadzaliby naukę sylwetek w swoich jednostkach. Kurs taki trwałby około trzech tygodni i obejmowałby bardzo dokładną naukę *recognition*, wykładania i instruowania, oraz przeprowadzania egzaminów i testów. Myślę, że najłatwiej dałoby się przeprowadzić takie kursy na miejscu, w jednostkach, ażeby zaoszczędzić kosztów przejazdu, zakwaterowania i t.p., dlatego proponuję, by kursy te były objazdowe. Wyobrażam sobie, że dwóch lub trzech instruktorów wyposażonych w epidiaskop i pomoce naukowe dałoby sobie radę doskonale jeżdżąc z jednostki do jednostki. W ten sposób koszty kursów byłyby minimalne a zysk bardzo duży.

Słuchacze kursów objazdowych powinni nie tylko wykazywać zainteresowanie przedmiotem, ale powinni także posiadać zdolności instruktorskie. Zadaniem instruktora jest uprościć i ułatwić naukę i wzbudzić zainteresowanie słuchaczy. Aby to zadanie spełnić instruktor rozporządza szeregiem pomocy naukowych, a więc modelami, filmami, książkami i pismami, a przede wszystkim epidiaskopem i kompletem wybranych fotografii samolotów. I oczywiście rozporządza swoją pomysłowością, inteligencją i fantazją.

Chcę tu podkreślić, że każdy instruktor musi ciągle szkolić się, zajmować się rozpoznawaniem stale, inaczej bowiem zapomina i, że tak powiem, "wychodzi z formy." Zresztą przybywają nowe typy samolotów, które należy znać, bo przecież nauka sylwetek jest nauką żywą, która rozwija się i rośnie. Dobrym instruktorem będzie więc tylko ten, który nie zadowoli się tylko ukończeniem kursu, ale będzie w dalszym ciągu interesował się rozpoznawaniem, przeprowadzając dla siebie testy i sprawdzenia, zbierając ciekawe zdjęcia sylwetek i t.p.

Nie wiem czy mój projekt szkolenia w rozpoznawaniu samolotów będzie urzeczywistniony, ale rzucam tę myśl w nadziei, że spotka się ona ze zrozumieniem i poparciem. Wydaje mi się moim obowiązkiem zwrócić uwagę na ten przedmiot, który dotychczas był przez nas tak niedoceniany i zaniedbany, a który powinniśmy należycie rozwinąć i spopularyzować.

TEODOR BRYZIŃSKI

Z życia obozów

Dekoracja na lotnisku*



Section Officer G., żona polskiego lotnika rozmawia z gen. Sikorskim

Pierwszy raz słyszałem "Jeszcze Polska nie zginęła," grane na piszczałkach z akompaniamentem wielkich bębnów, przy zachowaniu akrobatycznego ceremoniału wyrzucania pałeczek w powietrze. Wypadło to wcale ładnie. Wielki *tambour-major* odtańcowywał przy tej sposobności swój sakramentalny tan "srebrnej lagi," stojąc przed orkiestrą ubraną w skóry tygrysie oraz w wielkie skórzane fartuchy, niepokalanej bieli. Dla nieuświadomionych, dobosze ci mieli wygląd kucharzy oderwanych dopiero co od kuchni i przypędzonych przemocą pod bęben. Z wściekłością na znak protestu odrzucali pałeczki, lecz one sprawą nieczystą powracały stale do ich otwartych jeszcze dłoni . . .

Dzień był piękny, choć podwiewało chłodnym wiatrem od pól. *Runway* błyszczał w słońcu. Jakiś samolot załomotał motorami, pobiegł po betonie i niebawem zniknął w niebieskiej mgiełce horyzontu. Może na poszukiwanie *dinghi* tych, którzy wczoraj nie wrócili?

Niedaleko dowództwa jest plac ćwiczeń. Na placu ćwiczeń stoi wielki maszt, na maszcie powiewają u reji dwie flagi jednakowej wielkości i na jednej wysokości: brytyjska z kokardą RAF'u i polska z orłem i szachownicą. Robi się zawsze ciepło na sercu, gdy widzi się szachownicę. Jest to chyba najpiękniejszy znak lotniczy świata. Jest prosty i dostojny, przy tym kolorowy i pełen fantazji. Jakiś zupełnie inny od wszystkich znaków, jakie barwią skrzydła samolotów bojowych świata. Stał się dzisiaj symbolem chwały i radości. Chwały—gdyż jest herbem i pieczęcią tych "*knights of the air*," którzy dobrze spełnili we wrześniu 1939 r. swój obowiązek. Radości—gdyż nieśmiertelny i niezniszczalny żadną potęgą świata odradza się i trwa na przekór mowom pogrzebowym wrogów.

Teraz wesoło powiewa na maszcie dając świadectwo życia. Paf z Rafem, Raf z Pafem są skazane na współistnienie na zawsze, aż do końca, chcą tego czy nie chcą. Skazały je na to losy wojny, skaże i zwiąże jeszcze mocniej chwila, gdy wolność powietrza splecie wszystkie szlaki niebieskie w jedną niepodzielną całość. Mimo, iż jest bliska i nieunikniona, wielu niewiernych Tomaszów myśli o niej z niedowierzaniem.

Sądzę, że świat ogłaszając ową wolność wszechobecną, wszystkim dostępną, wolność czujną—nie będzie jeszcze doceniać w pełni wagi swego obwieszczenia. Lecz mam przyczyny do przypuszczenia, że docenił znaczenie wolności powietrza i dał temu wyraz generał Sikorski w mowie wypowiedzianej do lotników tego właśnie, słonecznego dnia. Nie mam bynajmniej zamiaru bawić się w Pata i interpretować ustępy tego nader znamiennego przemówienia, jednak pewien krótki jego ustęp z lotniczego punktu widzenia dał mi wiele do myślenia.

Dywizjony stanęły naokoło masztu, pod masztem w szeregu oczekujący dekoracji. Patrzę na ich twarze: pierwsza — bardzo przystojna, o twarzy surowej i poważnej brytyjska Waafka, pasek na rękawie, a więc oficer. Domyślam się kto to: to żona jednego z oficerów Polaków. Ma otrzymać V.M. dla swego męża. Jest to nader piękny zwyczaj uroczystego wręczania dekoracji najbliższemu członkowi rodziny, gdy dekorowany przybyć nie może. Zwyczaj ten, obecnie przejęty przez nas od Brytyjczyków, pewnie utrzyma się na stałe.

Zresztą *Section Officer* G . . . zasłużyła sobie w zupełności na ten zaszczyt. Była na służbie w *operation roomie* właśnie w tym dniu, w którym jej mąż nie wrócił. Czekała na powrót samolotu, będąc w tym tragicznym położeniu, że wiadomość miała przyjść bezpośrednio do niej. Tylko żona lotnika może ocenić, co to znaczy czekać na powrót męża. Pani G . . . czekała nie tylko jako żona, lecz jako oficer w służbie. Oh! ciężkie to doświadczenie. Jak dłużą się chwile, gdy czas upłynął, lecz jeszcze jest nadzieja /ma przecież jeszcze benzynę/. Gdy i ten termin upłynie, jeszcze się czeka /pewnie wylądował na obcym lotnisku, chyba zatelefonują zaraz?/, gdy samoloty ruszają na poszukiwanie *dinghi* czeka się ciągle /przecież go muszą znaleźć/. A potem, gdy to wszystko zawiedzie, pozostaje jeszcze nadzieja /przecież był taki dzielny, da sobie jakoś radę/ . . .

Section Officer G . . . przeszła wszystkie fazy czekania, a takie oczekiwanie potrafi złamać najmocniejszego ducha. Była o tyle szczęśliwszą od wielu żon, że doczekała się wreszcie wiadomości, iż mąż zdrów i cały. Choć powrót jego jest wykluczony.

Teraz *Section Officer* G . . . jest wzruszona, lecz nie pokazuje ani jednym gestem, ani najmniejszym skurczem twarzy tego, co czuje. Wie, że jest Brytyjką i oficerem noszącym niebieski mundur. Stoi poważna i skupiona, guziki wyczyszczone, jak należy, sprzączki munduru błyszczą jak słońce, czapka nasadzona równo, według przepisu. Gdy Naczelny Wódz zbliża się, salutuje (ręka wyciągnięta na wysokość ramienia, załamana w łokciu, przyłożona do daszka czapki z dłonią nazewnątrz, powraca najkrótszą drogą do boku). Wzór i przykład dla podwładnych, których pełne okna w sąsiednim budynku.

Piszczałki grały przenikliwie, pałeczki wylatywały wysoko nad szeregi, gdy generał Sikorski odbywał przegląd dywizjonów. Generał był poważny i surowy, gdy przystępował do aktu dekoracji, gdyż pewnie myślał o przemówieniu, które miało nastąpić po dekoracji. Uśmiechnął się jednak przy wręczaniu V.M. pani G. . . . i potem raz jeszcze, gdy zobaczył majora K., który bił się jeszcze pod Bartatowem, w obronie Lwowa, w grupie płk. Sikorskiego. . . .

Zaczyna się defilada. Ruszają dywizjony, równocześnie pojawia się w powietrzu dwunastka myśliwców, trójka za trójką—palce lizać! Trzy "Wellingtony" zabuczały także i przeleciały poważnie w poprzek placu. Dalszy dywizjon wybija mocno takt nogami, gdy tymczasem na niebie myśliwcy przechodzą w inny szyk. Ktoś mówi obok mnie: — niech ich kule biją! Jestem tego samego zdania, mimo, iż moje skromne wcale się nie liczy. Wreszcie gdy pozostała sama orkiestra i piszcząc przyjemnie chórem, w takt bębnów przesuwała się pod trybuną, myśliwcy pojawili się raz jeszcze: na odmianę zaatakowali ziemię. Dobosze mocniej wyrzucili swe pałeczki, piszczałki zadźwięczały przeraźliwiej.

Defilada skończona, gdzieś na krańcu nieba samoloty przegrupowywały się, wracając do domu. Zaganiał je lecący z tyłu za szykiem dowódca, zupełnie tak samo, jak dobry pasterz pogania kijaszkiem swoje owieczki do zagrody. W tej wojnie kijaszek pasterza został zmechanizowany, nazywa się radiofonią.

Zostali na placu dekorowani i ich rodziny, został generał Sikorski i świta. Generał Sikorski gratuluje miłej pani Angielce i dwojgu dzieciom przy niej — dzielności ojca. Zjawia się ojciec. Poznaję go, to ten sam komendant stacji, który latał z naszymi nad Essen. Wygląda teraz inaczej, nie jest w *battle-dressie*, tylko w zwykłym mundurze. Patrzy się na swoje dzieci z wielką przyjemnością i uśmiecha się serdecznie, słysząc co Generał mówi.



Naczelny Wódz dekoruje oficerów i podoficerów dywizjonu bombowego

Naczelny Wódz jest już po przemówieniu, więc jakby znacznie weselszy i swobodniejszy. Zresztą wczorajsza wizyta w *operation roomie* sprawiła mu przyjemność przez swój bezpośredni charakter.

Po defiladzie generał Sikorski i sztab udał się do kasyna podoficerskiego na szklankę piwa. Pozostawiam opis rzeczy reporterom i sprawozdawcom. Ja mogę powiedzieć tylko tyle: przyjemnie uderza w lotnictwie /nie uwłaczając wojsku lądowemu/ doskonała dyscyplina i forma każdego żołnierza bez stukania obcasami. Ludzie są swobodni i wypowiadają otwarcie co myślą, bez efronterii czy emfazy. Mam wrażenie, że jest to w dużym stopniu zasługa nie tylko dobrych dowódców, lecz przede wszystkim charakteru nowoczesnej broni, jakim jest lotnictwo. Zdaje się ono zrywać z wszelką niepotrzebną formą, zachowując to co istotne: uszanowanie dla hierarchii i autorytetu. Te cnoty nie są bynajmniej wyłącznym przywilejem organizacji wojskowej. Są cechą każdego dobrze zorganizowanego społeczeństwa o pewnym kulturalnym poziomie.

Skacząc z przedmiotu na przedmiot, pragnę powrócić jeszcze do przemówienia gen. Sikorskiego, które wygłosił przed defiladą. Generał mówił wyraźnie, głośniki powtarzały dobrze, tak, że słyszano przemówienie w każdym kącie placu. Wspomniałem, że przemówienie było niezwykle ważne z lotniczego punktu widzenia. Był w nim ustęp: "Kraj spokojnie patrzy w przyszłość, gdyż wie, że tę przyszłość zapewni mu centralne położenie Polski w Europie." Polska posiadała kiedyś to centralne położenie, gdy wszystkie drogi lądowe Europy przecinały się na jej terytorium. Utraciła je wyraźnie z chwilą, gdy supremacja mórz odebrała drogom lądowym dawne znaczenie, zamieniając trakty handlowe w ścieżki między jednym portem a drugim. Polska nie poszła wtedy na morza, Polska nie miała portów, przestała więc być właścicielką swych własnych dróg.

Wojna w ciągu kilku lat dokonała największej rewolucji na skalę światową. Wykazała, że drogi morskie są kontrolowane przez powietrze. Zmienia to postać świata i sens jego potrzeb ustrojowych. Dziwnym trafem wszystkie ważniejsze szlaki powietrzne Eurazji krzyżują się w Polsce. Przez Polskę będą musieli latać Brytyjczycy do Indii, Australii i na daleki Wschód. Przez Polskę będzie przebiegał również szlak światowy łączący — jak to jeden z Amerykanów określił — Nowy York z Nowym Yorkiem, lecz . . . naokoło świata. Z Halifaxu na Irlandię, z Irlandii do Londynu, z Londynu do Warszawy, z Warszawy na Wschód gubiąc się w mgłach Uralu, w stepach azjatyckiej Syberii, wśród śnieżnych gór Kamczatki, przebijając się przez złośliwe pogody Aleut, dotrze do kontynentu amerykańskiego z powrotem . . .

Ten węzeł dróg powietrznych, olbrzymi dworzec rozdzielczy, jakich może tylko sześć na całej kuli ziemskiej, samym swym istnieniem musi zaciążyć na konstrukcji przyszłej Europy . . . Bez tego dworca rwą się szlaki, łamią drogi, prowadzą przez bezdroża powietrzne, na których komunikacja tylko z największym trudem może być utrzymywana. Ten dworzec powietrzny nie może być przez kogoś kontrolowany, nie może wpaść w niczyje ręce, musi istnieć sam dla siebie, dostępny dla wszystkich, służący interesom wszystkich narodów świata na równi.

Jest to jedna z tych prawd absolutnych, wobec których nie ma "ale," czy: "można inaczej." Istnienie faktu mówi samo za siebie i jest w konsekwencji dla wszelkich spraw europejskich zagadnieniem stałym, a rozwiązalnym w jeden tylko sposób: polski . . .

I to prawdopodobnie miał na myśli generał Sikorski, gdy mówił do lotników o centralnym położeniu Polski w Europie . . .

Nie było to przypadkiem, że gdy o tym mówił, powiewały nad nim dwie flagi: RAF'u i PAF'u, na jednym zjednoczone maszcie.

M. J. GORDON

* Por. "Noc na lotnisku," druk. w poprzednim numerze "Polski Walczącej."

Polacy biorą udział w "Wings for Victory Week" w Londynie

Orkiestra Brygady Spadochronowej



Oddział Szkoły Pilotażu



Pomoc dla Polaków w Rosji: £7,947

W załączeniu przesyłam B.M.O. na kwotę £61.0.0 /słownie sześćdziesiąt jeden funtów/, które Dywizjon Myśliwski Warszawski przeznacza na fundusz pomocy dla Polaków w Rosji. Pieniądze te zebrano jako czysty dochód z zabawy w dniu Święta Dywizjonu.

£1.0.0 /słownie jeden funt/ wpłaciło poza tym indywidualnie dwóch członków Dywizjonu:
sierżant. pil. Sw. i sierż. pil. Gr.
Razem: £62.0.0 /słownie sześćdziesiąt dwa funty/.

Adiutant Dyonu Myśliwskiego Warszawskiego
por. T.H.Ł.

* * *

Kochanemu Wieszczkowi, Józusiowi z pod Wydartej, w dniu Patrona życzymy wszystkiego najlepszego przekazując sh.30 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanki i Koledzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Kochanej koleżance Mirze Grelichowskiej w dniu imienin składamy najserdeczniejsze życzenia, a zamiast upominku przekazujemy sh.30 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanki i Koledzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Pracownicy Wydziału Prac Kulturalno — Oświatowych Min. Obr. Narod. stosownie do decyzji dobrowolnego, stałego, progresywnego opodatkowania przesyłają za miesiąc marzec £20 sh.6 /dwadzieścia funtów, sześć szylingów/ na pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

W załączeniu przesyłam "postal order" na sumę sh.10 z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.
Kreślę się z poważaniem

J.B.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!
Przestałam palić, a pieniądze wydawane na papierosy przeznaczam na dzieci polskie w Rosji. Sumę £1 sh.10 za pierwsze dwa miesiące przesyłam.

Równocześnie przesyłam paczkę broszur i książek dla żołnierzy na Bliskim Wschodzie.
Z poważaniem

M.P.

Wzmianka o książkach drukowana była w nr. 10. "P.W."

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"
W załączeniu przesyłam na pomoc dla Polaków w Rosji kwotę £1.10.0 /jeden funt i dziesięć szyl./.
Z poważaniem

Ks. A. Ż. T.J.
Kapl. W. P.

* * *

Wpłacam na fundusz Rodaków w Rosji 10 szylingów jako zwrot pożyczki na urlop, udzielonej mi przez por. Jerzego L. ze Lwowa.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!
W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £6 sh.10 na cele pomocy Polakom w Rosji. Kwota ta została zebrana przez oficerów 1. Komp. oficerskiej Baonu Szkolnego w Szkocji.
Z poważaniem

Stanisław Kempski

* * *

W załączeniu przesyłam £1.0.0 na Pomoc Polakom w Rosji.

Magdalena Kamińska

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £96.16.0 /słownie dziewięćdziesiąt sześć funtów, szesnaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £7,947.17.9½ /słownie siedem tysięcy dziewięćset czterdzieści i siedem funtów, siedemnaście szylingów, dziewięć i pół pensa/ 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Żołnierze i "oświata" Batalionu X przekazują 98 książek dla Kolegów na Bl. Wschodzie.

Oficer Oświatowy

Załączone:
"Wiersze o Warszawie." Wacław Sobieski: "Historia Polski" 8 egz. Edward Ligocki: "Złota Chorągiew" 10 egz. "Walki w obronie granic" 10 egz. Stanisław Ordon: "Łuna nad Warszawą" 6 egz. Mieczysław Szerer: "Federacje a przyszłość Polski" 11 egz. Karol Leskowiec: "Polska po wojnie" 4 egz. "The Basic Way to English" 4 egz. Robert Vansittart: "Czarny rejestr" 2 egz. "Biuletyn narodowy" 7 egz. Stanisław Wyspiański: "Warszawianka Pieśń z Roku 1831" 2 egz. "The Battle of Britain" 2 egz. Adam Mickiewicz: "Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego." "Ilustracje Wypadków i Wizerunki z lat 1861-1864." Jerzy Pietrkiewicz: "Po chłopsku." "St. John Bosco." "A Polish Bomber Squadron" 2 egz. "Walka o Śląsk trwa." "Kościół a Polska." dr. Mieczysław Gawlik: "O powstaniu styczniowem 1863 r." Jerzy Ciepielowski: "3 Maj." "Boje Polskie 1939-1941." tłum. W. Ludwiga: "Dziennik oficera sztabu." Roman Górecki: "Z moich wspomnień o Józefie Piłsudskim." Bolesław Wdały: "Niemcy w Polsce." Karol Leskowiec: "Ku federacji z Czechosłowacją." P. B. Ballard, M.A.D.Lit.: "Fundamental English." Liddel Hart: "Obrona dynamiczna." ks. Rajmund Knendich: "Wspomnienie o krzyżu." ks. Walerian Adamski: "Polski śpiewnik narodowy." Bolesław Prus: "Placówka." Stanisław Wyspiański: "Wesele." Lucjan Bielski: "Głos z kraju." Zygmunt Nowakowski: "Przylądek Dobrej nadziei." "1000 słów po angielsku." gen. Mieczysław Norwid Neugebauer: "Kampania wrześniowa 1939 w Polsce." Henryk Sienkiewicz: "Potop" 2 tomy. Stefan Żeromski: "Wiatr od morza" 2 egz. Ksawery Pruszyński: "Droga wiodła przez Narwik" 2 egz. /Razem 98 książek./

* * *

Redakcja "Polski Walczącej"!
Przesyłam parę broszur i książek, z których proszę skorzystać jeżeli nadają się do wysyłki na Środkowy Wschód.
Z poważaniem

Kpt. M.

Załączone:
"Posługiwanie się mapą angielską." St. Ordon: "Łuna nad Warszawą." R. Umiastowski: "12 mil do Warszawy . . . 30 mil do Paryża." "Walki w obronie granic." MacCallum: "Nauka języka angielskiego." "Basic English for Polish Students." Cz. Jeśmian: "Północne podróże Podhalańskie." Cz. Jeśmian: "Klejnot srebrzystych mórz." 12 zeszytów "Bellona."

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Dear Sirs,
I have pleasure in enclosing herewith a cheque for £15.5.6 being proceeds of concert held in Bridge of Allan on 6th February last, which I shall be glad if you will place to the credit of the Polish Relief Fund, Prisoners of War in Germany. Kindly seud me yonr official receipt.
Yours faithfully,

T. J. Mackenzie, Secretary. of the Scottish-Polish Society.

POLKI AMERYKAŃSKIE DLA LOTNIKÓW

Drogi Panie Doktorze!
Proszę przyjąć w załączeniu dolarów 20. — Sumę tą ofiarowały nasze Polki w Passaic'u kochanym naszym bohaterom — lotnikom na kupno papierosów lub łakoci.
Uprzejmie proszę z sumy tej ofiarować dolara lub dwa na papierosy lotnikowi p. W., adres . . .
Panu W. panie nasze przesyłają wyrazy szczerej życzliwości.
Nazwiska Pań — opiekunek żołnierzy: Putkowska, Mertz, Płodowska, Błażejowska, Konforowicz, Serafin, Nadolna, Pokrowska i Jabłonowska.
Życząc rychłego zobaczenia swoich kochanych w Ojczyźnie łączę gorący uścisk dłoni.

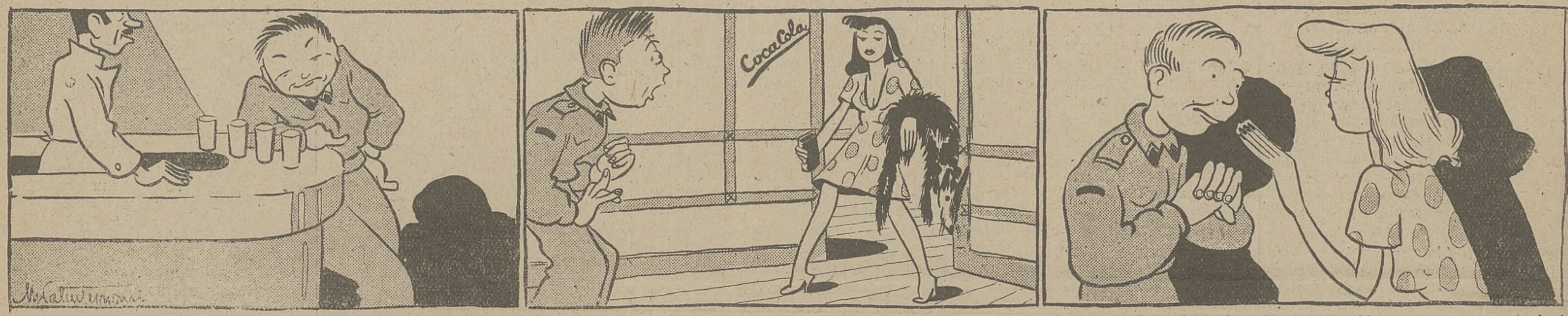
Maria Płodowska,
104, Grant Str., Passaic, N.Y.

P.S. Pieniądze wysłać muszę kablogramem, wobec tego list przyjdzie z opóźnieniem.

Pieniądze /po przeliczeniu na walutę angielską: £4 sh.17 d.1/ przekazaliśmy do dyspozycji Inspektoratu Sił Powietrznych.

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Tekst: RYSZARD POBÓG *Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ*



Z Waszyngtonu Walenty
Do New Yorku powrócił—

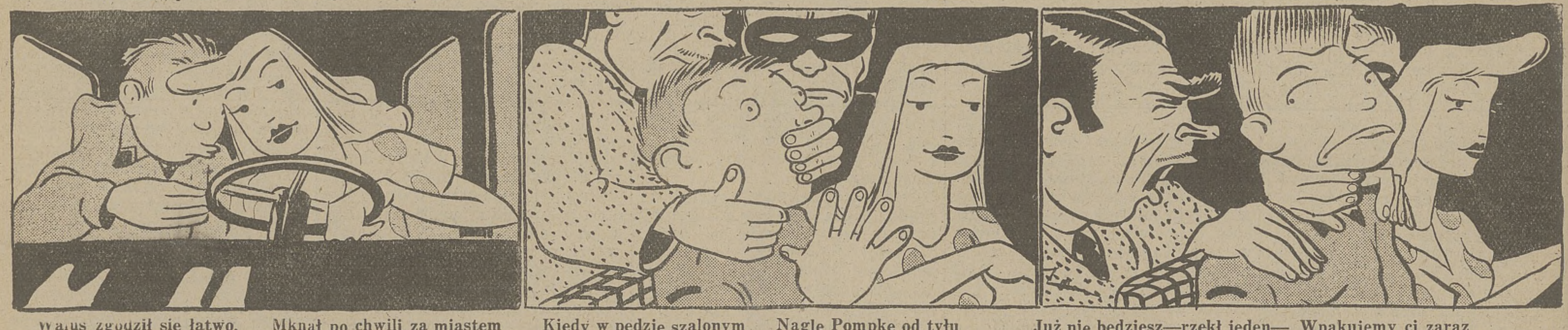
No i w barze, w hotelu
Cztery whisky przerzucił.

Kiedy barman z dziesiątki
W centach resztę mu wydał—

Venus weszła do baru.
Bóstwo. Greta. Elida.

Well, pan Pompka!—krzyknęła—
Szukam pana, czas tracę.

Chce pan ze mną pojechać
Moją karą na spacer?



Waluś zgodził się łatwo,
No i razem z blondyną

Mknął po chwili za miastem
Extra-fine limuzyną.

Kiedy w pędzie szalonym
Mil z pół setki przebyli—

Nagle Pompkę od tyłu
Dwaj gangsterzy chwycili.

Już nie będziesz—rzekł jeden—
Szukać szpiegów po mieście!

Wpakujemy ci zaraz
Z tommy-gun'a kul dwieście . . .

SPIS RZECZY:

ROMANA SOBIŃSKIEGO, lotnika poszukje Tadeusz Parczewski P/55, P.F. ma wiadomość od Hanny.

STANISŁAWA PROCNEROWA poszukuje męża Józefa Procnera, który przebywał w obozie Starobielsk. Wiadomości kierować do: Peebles, 16, Eliots Park.

P. PIOTR ZAŁĘSKI ma list do odebrania w redakcji "P.W."

MROCZKOWSKI KAZIMIERZ P.40. Polish Forces poszukuje jakichkolwiek wiadomości o rodzinie swej, żonie Stefanii z dziećmi, wywiezionych do Rosji, Kustanajskaja obl. Karasulski Rejon, Kazakstan.

Wydział Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej przeniósł się do nowego lokalu przy ulicy: 5, West Halkin Street, London, S.W.1 /boczna Belgrave Square/.

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ ŚW. JANA w języku POLSKIM proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

MAGDALENA KAMIŃSKA Poszukuje Jerzego Dadzibóg KAMIEŃSKIEGO z Żołóbek, ur. w r. 1915 w Kijowie.

P. SZYDŁOWSKI ADAM ma list do odebrania w Redakcji "P.W."

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.